



BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie miesięcznej kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60; rocznie rub. 7 kop. 20 z 20 tomami rub. 9 kop. 20, w oprawie rub. 12 kop. 20.

Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie 1 b. 2 kop. 50, z 20 tomami rub. 13 kop. 20, w oprawie rub. 16 kop. 20.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.

Ekspedycya Główna ulica Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszcza“ po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego“ w Poznaniu kwartalnie 3,50 mk., z przesyłką pocztową 4,30.

Władysław M. Kozłowski.

SZKOŁA SPOŁECZNA

W NASZEJ PRZESZŁOŚCI.



W dziedzinie teoretycznej, zwłaszcza zaś w zakresie wiedzy, postęp odbywa się prawie nieustannie. Jeśli przychodzą doby застоju, to ruch po nich rozpoczynający się nawiązuje nie przeszłości w tym punkcie, w którym zerwana została, a rzadko bardzo się cofa. Bywają chwile, że coś się psuje w ogólnym zarysie architektonicznym gmachu naukowego; że zatracą się poczucie harmonii i stosunków całości, a chwile takie ujemnie oddziałują i na badania szczegółowe. Nie mniej jednak badania te dokładają po cegiełce do poprzednich nabytków; gmach rośnie ustawicznie, a gdy wróci jasność myśli, obraz całości rysuje się tem okazalej, wzbogacony nowymi zdobyczami.

Inaczej ma się rzecz w dziedzinach praktycznych, w instytucjach o charakterze państwowym i społecznym. Tu osiągnięte już wysokie stanowisko zostaje nieraz całkowicie opuszczone, świetne instytucje zburzone, pod wpływem przeważającego ducha reakcji, aby ustąpić miejsce utworom przebrzmiałym, bezpowrotnie zdawało się wyrugowanym.

Do instytucji najbardziej ulegających wpływom wahań wstecznych opinii należy szkoła. Jest ona prawdziwym barometrem, mniej szybko wprowadzie podążającym za prądem postępowym, ale za to najsamprzód odczuwającym technienie reakcji. Cóż dziwnego, że chwytające ster polityczny stronnictwo sięga przedewszystkiem do tego środka urabiania opinii przyszłych pokoleń na swoją modłę? W krajach, gdzie szkoła jest instytucją biurokratyczną, jak we Francji, staje się ona narzędziem polityki, środkiem zaszczepiania w umysłach młodzieńczych dogmatów wiary politycznej panującego stronnictwa. Zupełną przeciwność sta-

nowi prawdziwie wolna, prawdziwie obywatelska szkoła amerykańska, gdzie poszanowanie niezależnych przekonań stanowi podstawę szkolnego ustroju.

Na tem samym stanowisku stała przed stu kilkudziesięciu laty nasza Komisya edukacyjna: przeniosła ona naukę religii do kościoła, pozostawiając w szkole tylko naukę moralności, niezależną od dogmatów i obrządków poszczególnych wyznań religijnych. Dążenie wygłaszane dziś w Europie, jako pium desiderium, przez kongresy wolnościowe było u nas urzeczywistnione jeszcze w XVIII wieku.

Tak więc w szkole najczęściej może się spotkać, że to, co było już utrwaloną zasadą, zatracą się i staje się nanowo przedmiotem pożądań i aspiracji.

Nie dotyczy to tylko pewnych specjalnych charakterów szkoły; plan ogólny nauk ulega również wahaniom pod wpływem chwilowych prądów politycznych.

W dobie, kiedy młodzieńcze oblicze Janusa zwrócone ku przyszłości panuje nad myślą i czynem, dążeniem społeczeństwa jest wlanie jak najbogatszej treści dydaktycznej w te programy, uczynienie ze szkoły ośrodka wychowawczego jak najliberalniejszego. Ale tam, gdzie rząd nieufny zazdrosnym okiem spogląda na wykształcenie obywateli, bojąc się nadmiaru światła; gdzie wykształcenie tylko się toleruje jako składnik nieunikniony państwa, jako środek do wyrobienia urzędników wykonawczych, tam nie tylko starannie ruguje się ze szkoły wszystko, co budzi myśl niezależną, ale i sam sposób traktowania przedmiotów napiętnowany jest formalistyką zabijającą ducha, a karność przybiera postać koszarowej subordynacji. Nauczyciel przestaje być kolegą i przyjacielem ucznia, stając się jego „władzą“, jego sędzią śledczym, jego katem.

Takie cechy przyjęła szkoła rosyjska za smutnej pamięci okresu klasycyzmu Dymitra Tolstoja, a cechy te w spotęgowanej formie przyniosła szkoła ta do nas.

W szkolnictwie więc, mniej niż gdzieinziej rzeczy minione mogą być uważane za rzeczy przebrzmiałe. Tu często uprawnieni

jesteśmy do szukania wzorów w przeszłości; a zwrócenie się takie ku przeszłości historycznej, ku rzeczywistości minionej, o tyle wzbogaca nasze teoretyczne plany przyszłości, że pozwala sprawdzić na owocach skutki projektowanych reform. Szczególniej usprawiedliwiony jest zwrot taki w naszym szkolnictwie. Byliśmy narodem, który pierwszy stworzył instytucję odpowiadającą dzisiejszym ministeryom oświaty, a o tyle od nich wyższą, że kolegią; narodem, który pierwszy odważył się oprzeć wykształcenie na najnowszych zdobyczach wiedzy; narodem, który pierwszy w Europie usiłował zbudować wolność i dobrobyt kraju na mądrym systemacie szkolnictwa. Gdy przeglądamy olbrzymie a tak słusznie podziwiane dzieło Konwencji Narodowej francuskiej w zakresie instytucji wychowawczych, odnajdujemy w niem główne rysy reformy, przeprowadzonej u nas przez Komisję na parę dziesiątków lat wcześniej.

Wykazując konieczność oddzielenia dwóch stron wykształcenia publicznego i przeciwstawiając szkołę społeczną, kształcącą obywateli, szkole państwowej, urabiającej urzędników, wytknęliśmy w swoim czasie następujące warunki, którym odpowiadać winna szkoła społeczna:

1. Stanowić powinna zamkniętą w sobie całość; nie być tylko stopniem przygotowania do wyższego zakładu;

2. Odpowiadać typowi społeczeństwa, dla którego istnieje; a więc — jak na dziś mieć charakter przemysłowy i demokratyczny; t. j. stawiać naukę rzemiosł i sztuk praktycznych na równi w wyzwolonymi.

3. Wyzwolić się zupełnie z pierwiastków biurokratycznych i państwowych, a w organizacji swojej oprzeć się na zasadach wolności¹⁾.

Gdy w parę lat po skreśleniu tych wy magań, teoretycznie wysnutych zwróciliśmy się do bliższych studyów nad przeszłością Liceum Krzemienieckiego, dostrzegliśmy ze zdumieniem, że w szkole tej urze-

¹⁾ Ob. „Kuryer Warszawski“ z d. 30 Lipca 1905 r.

czywistnione zostały prawie całkowicie te trzy główne i niektóre drugorzędne postulaty przez nas wytknięte. *Szkoła krzemieniecka była od początku swego istnienia wzorem szkoły społecznej w najlepszym znaczeniu słowa.*

Mamy więc tu konkretny i rzeczywisty wypadek, na którym wypróbować można skuteczność przyjętych zasad.

Czy była owocną? Na pytanie to długiej odpowiedzi dawać nie potrzebujemy. Znany jest zbyt dobrze jej dobroczynny wpływ na całą okolicę; znani są wybitni ludzie, którzy z niej wyszli; o wysokim jej poziomie wreszcie świadczy łatwość, z jaką po przeniesieniu do Kijowa, Liceum krzemienieckie przekształcone zostało na uniwersytet.

Jakimiż środkami wynik ten został osiągnięty?

Rzućmy okiem przedewszystkiem na myśl przewodnią. Była ona zarówno jak i plan konkretny, skreślona przez Hugona Kollontaja, do którego rad odwoływał się nieustannie Czacki, który jest w tej samej mierze twórcą jej wewnętrzną, jak Czacki organizatorem zewnętrzną. Zaproszony do Porycka, majątku Czackiego, tu opracował Kollontaj (w październiku r. 1804) memoriał, w którym wykłada zadania szkoły i uzasadnia potrzebę rozmaitych studiów projektowanych.

Za punkt wyjścia służy mu założenie „że każde gimnazjum guberskie powinno być tak urządzone, aby w niem znajdowały się wszystkie umiejętności i nauki, które są nieuchronnie potrzebne do dobrego oświecenia wszystkich klas obywateli.“ Z tej szczerze demokratycznej zasady wyprowadza się cały plan nauk. Podnosi więc przedewszystkiem konieczność: mowy greckiej i łacińskiej „z którymi ojcowie nasi byli oswojeni, skąd czerpali najczystsze prawa dobrego gustu,“ otwierające skarby literatury starożytnej; mowy rosyjskiej potrzebnej, „nie dla tego jedynie, że jest mową rządu, lecz że w swych różnych dialektach jest mową narodu słowiańskiego,“ języków francuskiego i niemieckiego—gdyż są to języki prawdziwie uczonych narodów. Cóż mówić o mowie ojczystej! „Wszystkie inne mowy, osobliwie narodów naukami wstawionych, wystawić sobie powinniśmy za nieobojętne środki zubożenia naszych umiejętności i gustu w wyzwolonych naukach. Mowę naszą uważać powinniśmy jak skarb najdroższy, jak własność najprzyjemniejszą, przez którą wszystkie umiejętności i nauki staną się przystępnymi dla umysłów tych nawet obywateli, których pamięć nie jest dość zdolna obciążać się gruntowną znajomością mów obcych.

„Kto pragnie rzetelnie upowszechnić światło w jakim narodzie, ten powinien położyć za najpierwszy fundament swych usiłowań, aby mowę narodową zrobił mową uczoną i zdolną tłómaczyć najgłębsze nauki tajemnicę; każdy albowiem w swej ojczystej mowie zdolny jest wyobrazić sobie wszystkie przedmioty i z wyobrażonych najjaśniej się tłómaczyć, a chcąc o tych samych przedmiotach mówić w obcej mowie, będzie tylko przekładał, co we własnej pojął, lub z czego

w swej mowie chciał się wytłómaczyć. Nie samo więc próżne przywiązanie do ojczystej mowy skłaniać nas powinno, abyśmy około jej wykoskonalenia z największą pracowali gorliwością, ale widoczna potrzeba oświecenia publicznego. Mamy tego liczne przykłady z historii dawnych i terażniejszych narodów. Gdziekolwiek nauki dawane były w obcym języku, tam zawsze mała bardzo liczba ludzi korzystała z ich światła, a cała masa ludu była podobnie barbarzyńska jak ich mowa; gdziekolwiek nauki dawane były w ojczystej mowie, tam oświecenie zluźowało barbarzyństwo, a mowa ojczysta stawała się prawdziwie mową uczoną... Próżnoby chciano liczne podejmować koszty w rozszerzaniu przytłumionego u nas światła, gdyby nam dano do szkół obcą mowę, tem bardziej obcych nauczycieli... Naród nasz nie może być powszechnie oświeconym, wynalazki i prace naszych pisarzy będą zawsze poziome i niedokładne, jeżeli mowa nasza nie będzie mową pisarzy i nauczycieli.“

Z tej świetnej obrony mowy ojczystej widzimy jak głęboko i jak szczerze demokratycznie pojmowali założyciele Liceum zadania oświaty narodowej.

Nauce języków, jako pamięciowej, poświęcone były cztery pierwsze klasy, do których ustanawia się czterech profesorów. 1. języka polskiego i łacińskiego, 2. rosyjskiego, który ma uczyć także arytmeryki; 3. francuskiego, obarzonego także nauką początków etyki i 4. niemieckiego, mającego także geografii powszechną.

(Dokończenie nastąpi).



MARYAN GAWALEWICZ.

BEZ CELU.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Usunęła ją też bezwzględnie niemal przemocą, korzystając z praw swego starszeństwa i opieki, a kierowała się wówczas tylko instynktem i rozumowaniem zazdrosnej, zaniepokojonej o siebie kobiety; zapomniała w tej chwili o swoich liberalnych zasadach, o równouprawnieniu, o poszanowaniu indywidualności, jak i o wszystkich pięknie brzmiących hasłach wolnomyślnego społecznicy, które w teorii życiowej wygłaszała tak często tonem głębokiego przekonania wobec wszystkich i wobec tej samej Bronki, padającej ofiarą teraz jej samolubnej natury i fałszywej logiki.

Zapomniała o wszystkim, myśląc tylko o sobie i dopuszczając się na uczuciach rozdzonej siostry despotycznego gwałtu; mówiła jej rozkazująco, mocno, bezlitośnie:

— Nie wolno ci go kochać! — a wstydlivość rywalki zależnionej przewagą młodziej i piękniejszej współzawodniczki, nie pozwalała jej dopowiedzieć właściwej prawdy:

— Nie wolno ci go kochać, bo ja go kocham beznadziejnie od dawna i boję się go utracić, boję się twojego wpływu, twojej młodości, twojego wiosennego czaru; nie chcę się wyrzec swoich złudzeń, pierwszych może i ostatnich w życiu, nie chcę powrócić do tej zimnej, ciemnej, okropnej pustki serca osamotnionego, które oszukiwało się tak długo, że można żyć i być zadowoloną bez miłości, ogłuszając się tylko pięknymi ideami altruizmu, szerokich obowiązków społecznych, wysokich dążeń i solidarności z ogółem. Nie zabieraj mi go, bo widzisz przecie, że to pierwszy i ostatni mój ideał, pierwszy i ostatni poryw serca, upominającego się o swoje prawa i swoją część marzeń, złudzeń, szczęścia, rozkoszy w życiu zmarnowanym!...

Nie śmiała przyznać się przed nią do tych spóźnionych uczuć i tej śmiesznej, staropanińskiej zazdrości, która pozbawiała ją taktu i równowagi, a niestety, była tak naturalną i zrozumiałą, tak okrutną lecz i tak litości godną.

Tego wszystkiego wszelako nie mogła domyślać się, ani przypuszczać zahukana argumentacją siostry Bronka; tłómaczyła sobie, że zachodzą zapewne jakieś ważne, wyidealizowane względy, które skłaniają Sewerkę rozumniejszą, doświadczeńszą od niej, do tak stanowczego kroku w obronie niezależności i swobody Sokolika.

Takiego człowieka nie wolno niczem krępować, nie wolno zaprzętać jego umysłu czemkolwiek innym po za wielkimi, świętymi celami ogólnego dobra — powtarzała w duchu, — nie wolno go odrywać od „sprawy“ wielkiej, społecznej, sprawy przyszłości, której musi oddać i poświęcić się cały, niepodzielnie.

On, który przecież nosi na swoim czole stygmat powołania, który idzie w pierwszych szeregach zdobywać wolność, rozniecać świty pogodniejszego jutra dla całych pokoleń, walczyć o prawa dla pokrzywdzonych, on musi być sam wolny; takiego człowieka nie godzi się pętać jakąś tam małą, dziecinną miłością osobistą.

Bohaterowi, idącemu w bój z rozwiniętym sztandarem, nie powinna wieszać się u ramienia kobieta ze słowem: „kocham“ na ustach, bo takie słowo w takiej uroczystej chwili musiałoby być rozdzwiękiem.

Nie wolno jej przywiązywać mu się kula u nogi, nie wolno przeszkadzać w wielkiej, odpowiedzialnej, ryzykownej jego pracy; trzeba usunąć się na bok, zejść mu z drogi, wyrzec się go na czas jakiś, a choćby na zawsze, aby ani cząstki jego duszy, zapалу, energii, myśli i uczuć nie odbierać „sprawie publicznej.“

„Nie pora płakać róż, gdy płoną lasy,“ — powiedział przecież poeta.

I biedne dziewczę swój smutek, swój zawód, swoje młode, spękane serce kładło na ofiarę tej jakiejś wielkiej idei, która każe dobrowolnie gruchotać własne, osobiste szczęście jednostki dla dobra ogółu.

Patrzyła teraz na Sokolika i na swój stosunek do niego przez szkła powiększające, które jej Sewerka nałożyła i usiłowała przekonać siebie, że jest dla niego zawadą,

przeszkodą, hamulcem w misyi, do której został powołany, a którą szanować jej należało.

— Tylko dlatego właśnie ja go jeszcze bardziej kochać będę,—mówiła sobie;—i tego mi nikt na świecie zabronić nie może!... zejść mu z oczu, nie będę mu już przeszkadzała, nie przypomnę mu się ani jednym słówkiem, kiedy tak trzeba dla jego dobra, chociaż to ciężko, tak bardzo ciężko, ale kochać go nie przestanę. To trudno!... ale cóż zrobię, kiedy inaczej nie mogę?...

Próbowała zdobyć się na bohaterką rezygnację i napisała do niego ten króciutki liścik, lakoniczny, zagadkowy list, który miał zerwać z nim wszelkie stosunki; napisała potem kilka brulionów, które miała przy sobie w kieszeni i porównywała długo stylizację, pragnąc powiedzieć wszystko, nie mówiąc niczego wyraźnie.

Czuła się zobowiązaną względem siostry której uroczyste przyrzec musiało, że za chowa tajemnicę i korespondencyi z Edmudem prowadzić nie będzie.

Zalewała się przytem gorzkimi łzami po kątach, zamykając się w swoim pokoiku i po dziesięć razy dziennie przemywała sobie oczy zimną wodą, aby nie było poznać po niej, że płacze.

Wujek Latosiński zresztą nie byłby i tak tego dostrzegł, bo nie należał do bystrych obserwatorów, ale Jerzyk, mający więcej sposobności podglądać ciocię Bronię, z dzieciinną ciekawością męczył ją pytaniami, na które dawała mu wymijające i naiwne odpowiedzi.

— Ciociu, czy to na wsi wszyscy ludzie z miasta mają takie czerwone oczy?

— Wszyscy nie, ale mają.

— A z czego?

— Z wiatru.

— Jakże ciocia może mieć czerwone oczy z wiatru, kiedy ciocia nie wychodzi wcale z pokoju?

— To ze słońca.

— A kiedy u cioci niema słońca, bo przed samem oknem stoi taka duża lipa i zasłania.

Odwracała główkę i udawała, że nie słyszy.

Chłopak wydymał usteczka z urazą i odchodził nadąsany, aby innym razem znowu zakłopotać ją zapytaniem:

— Ciociu, czy ciocia ma katar?

— Daczego?

— A bo ciocia ciągle świeżą chusteczkę wyjmuję z kufierka.

— Mam katar; daj mi pokój!

Spoglądał na nią niedowierzająco, kręcił główką, a po chwili odezwał się:

— Proszę cioci, czemu to dzieciom nie zawsze mówią prawdę?.. Muńcia także tak kłamała przede mną, kiedy nie była w humorze, ale Puńcio nigdy; on mi zawsze na wszystko odpowiadał rzetelnie, chyba, że czego sam nie wiedział, ale wtedy mówił szczerze: „Nie wiem.“ A wy, kobiety, to oszukujecie tylko człowieka.

Zamyślił się, skubiąc sobie paluszek, i z westchnieniem dodał:

— To pewnie musi być wstyd płakać, kiedy się jest dorosłym; mnie także powtarzali w domu, kiedy beczałem dawniej: „Wstydź

się, taki duży chłopak i mazgai się!...“ więc ja też jestem grzeczny i nigdy nie płaczę, chociaż mnie czasem tak zadławi, że sobie rady dać nie mogę, szczególnie gdy sobie przypomnę Puńcia.

Żywa, dziecięca natura nie pozwalała mu jednak zbyt długo oddawać się smutnym refleksjom; całymi godzinami bawił się w ogrodzie z dziećmi klucznicy i organisty miejscowego, urządzając własnego pomysłu sceny zbrojnych napadów, rewizyi, aresztowań, do których dostarczały mu wątku przywiezione z Warszawy wrażenia.

Wiejskie pacholęta z wytrzeszczonymi oczyma słuchały objaśnień i poleceń „panicza“, nie mogąc się nadziwić jego pomysłom, kiedy np. udawał swego własnego Puńcia i kazał im przeszukiwać sobie kieszenie, spisywać protokół, aresztować i odprowadzać do komórki za spichlerzem, który nazywał Cytadelą.

Z rozbudzoną fantazją dziecięcą rozsnuwał przed nimi awanturnicze projekty w tym rodzaju:

— Wy mnie zamkniecie niby do więzienia, a potem niby będzie już noc i ja ucieknę niby przez okienko, i wtedy będziecie mnie szukali, szukali, aż dopiero mnie złapiecie na drzewie, dobrze?... I potem będzie sąd, a potem będziecie mnie tam pod murem niby rezstrzelowali; ja się przewrócę, a wy mnie zaniesiecie do ogrodu i będzie pogrzeb, będą nieśli wieńce, będą były dzwony, będziemy śpiewali i to będzie ślicznie, zobaczycie!... Tylko śmiać się nie wolno, pamiętajcie!... bo to musi być wszystko bardzo smutne, rozumiecie?...

Dzieciaki obstępowały go z rozdziawioną buzią i kiwały tylko płowemi główkami, nie rozumiejąc dobrze, co do nich mówił i za co miały męczyć go tak okrutnie, a w końcu zabijać i grzebać z taką paradą.

Tak upływały dni za dniami, aż któregoś południa chłopak z poczty przyniósł list do Bronki z Warszawy.

Zarumieniła się po same białka, gdy poznała pismo Edmunda na kopercie; schwyciła ją nerwowo, pobiegła do ogrodu i ukryta w gąszczu bzów rozkwitających za altanką, zaczęła czytać:

Sokolik pisał:

„Najdroższa moja Broniu!... mam zaledwie tyle czasu, aby tych kilka słów wysłać do Was na prędcie w przededniu wielkiego dzieła, którego się podjąłem. Nie może o tem wiedzieć nikt, nawet moja siostra Różia. Jutro rano rzecz będzie już dokonana i wiadoma, ale i mnie już może nie będzie z Wami. Niech więc te ostatnie moje słowa pójdą do Was na świadki, żem w najtrudniejszej chwili mego życia myślał o Was i posłał Wam pozdrowienie — na wieki.“

Litery dwoiły się jej w oczach, ręce drżały febrycznie, biedne, zatrwożone serduszko tłukło się i dygotało, jak motyl na szpilce. Jakieś straszne, ogromne w swojej grozie przeczucie ogarnęło ją i ogłuszyło, pozabawiając przytomności.

Nie była nawet zdolną zapłakać, ani jęknąć z bólu, ani poruszyć się z miejsca.

Dopiero, gdy to przeszło, ocknęła się i z gwałtownem łkaniem pobiegła na po-

dwórce, gdzie Latosiński właśnie dawał parobkom dyspozycję i jak szalona wybuchła spazmatycznym krzykiem:

— Wujku!... wujku, proszę natychmiast o konie!... Ja muszę zaraz, koniecznie... koniecznie jechać do Warszawy!

I mdlejąc potoczyła się na ziemię, zanim wystraszony starzec zdołał ją pochwycić w ramiona.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Dzień pochmurny.



Moc przysła taka, co duchy rozwiała,
Miesiące leca, godziny i chwile,
Minęło czasu bezbarwnego tyle...
Na tle błękitnem lotna chmurka biała

Rozwija cicho seraficzne pióra,
Jako anioły w przestrzenie lecące,
Rzęsy opuszcza roziskrzone słońce,
Zwisa nad ziemią dżdżem wezbrana chmura.

Piersz lżej oddycha, dusza więcej lotna
Staje na szlaku cichej, smętnej drogi,
W dal odleciały gorycze i trwogi...
Szczęsna po trzykroć dusza — bo samotna.

Szczęsna po trzykroć dusza ma, bo wolna,
Szczęsna po trzykroć — zbędna walk i trwogi...
Zroszone trawy ścielą się pod nogi,
Spłakane chmury w przestrzeń płyną zwolna.

I gładka, cicha opona błękitu
Ponad zieleni morzem się rozpina...
Błogosławiona niech będzie godzina,
Gdy ból i gorycz dochodzi — do szczytu...

Gdy ból i gorycz wstając z dna puhara,
Pienistą falą przechodzi za brzegi...
Sperlone rosą stanęły w szeregi
Wysokopienne róże — woni czara.

Goździków barwna korona obwija
Trawników miękkie jedwabne kobierce,
Wszystko ucieka, zasypia — gdzieś serce
Dzwonu — w takt z mojem drzy —
Ave Maria!

Nalęczów, Sierpień.

Bożymir.



J. OKSZA.

Nasz ideał kobiecy

W najnowszej literaturze. *)

W przeciągu ostatniej ćwierci XIX-go w. wielka ewolucja ekonomiczna przewróciła od góry do dołu prawie wszystkie nasze stosunki społeczne, ale przede wszystkim odbiła się na życiu wiejskiem. Przejście tak radykalne od łatwiejszych warunków bytu do zachodniego niemal tempa wymagań pracy, konkurencji, produktywności, przy równoległym wzrastaniu potrzeb, kosztowało wiele smutnych doświadczeń. Patrzyliśmy na ruiny dużych fortun w nieprawdopodobnie krótkim czasie, z powodu niezdolności do prawidłowego rozwoju według gospodarczych zasad nowoczesnych. Widzieliśmy też przykłady przystosowania się do życia na zmienionym gruncie, nagięcia do warunków i potrzeb chwili, a odbywało się to względnie szybko na dwóch następujących po sobie pokoleniach i zostawiło ślady głębokie w psychologii tych ludzi. Zeszła się więc teoria ewolucji i walki o byt z demonstracją praktyczną na tle naszych stosunków: przystosowywanie do okoliczności odbywa się ciągle, według ścisłej reguły naukowej i przekształca naszą społeczność od urządzenia domu, aż do pojęć popularnych. Troska o chleb powszedni, nieznaną dawniej w tej mierze na wsi, wyrobiła kult dla praktyczności, będącej ultimum egzystencji i postawiła na pierwszym miejscu niepokojące pytanie: „być albo nie być” — w znaczeniu materialnym. Wszystkie zresztą inne okoliczności; wzrost dobrobytu w miastach, dochodzenie pracą do znacznej fortuny pieniężnej na kresach cesarstwa, rozwój przemysłu na dużą skalę, rozpostarcie jednostajnej kultury europejskiej, równie jak pamięć przeszłych zawodów, wreszcie realizm w życiu, sztuce i literaturze, złożyły się na wyrobienie u nas nowych ideałów. Ideały te opierają się z jednej strony o głęboką myśl odrodzenia moralnego i ekonomicznego przez długą cichą pracę, ale drugim krańcem graniczą z ciasnym, egoistycznym zadowoleniem z siebie filisterstwem. Mieści się między tymi punktami widzenia wiele stopni pośrednich, ale niestety — żadne przeciwieństwo jaskrawe i bijące w oczy nie rozdziela tych dwóch krańców, tak różnych pod względem wartości etycznej i społecznej; to też nieraz oba podciągane bywają pod jeden sztandar!

Ten kierunek wychował sobie pewien przeciętny typ kobiecy, bardzo powszechny, a przystosowany do takiego życia, które nie rozlewa się szeroko, ani głębokiem nie płynie korytem.

Najpopularniejszym ideałem owej doby stała się stanowczo Marynia Połaniecka. Jest ona wyrazem i wzorem panny wiejskiej, typem tak skończonym w swoim rodzaju i tak

odpowiadającym rzeczywistości, że w odmianach nieznaczących odnajduje go się codziennie ze wszystkimi zaletami, które stanowią wielką jej wartość etyczną i z tą samą biernością, pod względem społecznym, co charakteryzuje owo pokolenie kobiet polskich tej sfery.

Marynia jest inteligentna; ma delikatne, kobiece zrozumienie wielu rzeczy: odczucie na artyzm Zawilowskiego, na gorące, zacne serce Świrskiego. Jednym z głębszych jej rysów jest nawet przywiązanie do ziemi, do wsi rodzinnej; za panieńskich czasów zajmowała się energicznie gospodarstwem, interesowała ją żywo sprawy, poruszane w poważnej rozmowie przez pana Jamisza. Wyszedłszy za mąż, z pewnością tych pojęć nie zatraciła, ale w indywidualności jej zacierają się odtąd wszystkie rysy, oprócz tych, co tworzą idealnie dobrą żonę. Cały świat już widzi w mężu, nie chce mieć większych od niego ambicyj, ani innych pragnień, zamyka się w swej uroczej bierności, która stanowi *das ewig weibliche* i ani jednym słowem nie poddaje myśli odkupienia wsi rodzinnej, ani jednym życzeniem szerszej pracy społecznej dla męża nie wybiegnie po za ramy tego życia, jakie on jej stworzył. To, co za najbliższe obowiązki uważa, spełni z nieporównanym wdziękiem i słodyczą: będzie troskliwą, kochającą, rozumną matką, bardzo dobrą panią dla domowników, serdeczną przyjaciółką i to jej do życia wystarczy. Interes jej dla spraw ogólnych będzie się ściśle stosował do stopnia interesu obywatelskiego męża: jego inicjatywę odczuje i pochwali, ale jej nie obudzi sama, choć zyska duży wpływ przez dobroc swą i poczucie taktu.

W chwili tej, gdy wszelkie tętna życia publicznego zostały ściśnięte i zatamowane, wszystkie niemal siły żywotne społeczeństwa skupiły się w jedynym organizmie, jaki miał możliwość swobodnego rozwoju w rodzinie. Ale obok rodziny w chrześcijańskim i staropolskim rozumieniu, która wychowuje dzieci dla Boga, dla kraju, do trudu i odpowiedzialności, wraz z mieszczańskimi wpływami Zachodu, wraz z nowym typem życia praktycznego, opartego na ustroju kapitalistycznym, rozpowszechnił się typ rodziny egoistycznej, w której dewizą jest „życie dla dzieci” wyłącznie, a właściwie dla ich materialnego dobra. Rodzina tego pokroju o tyle związana jest ze społeczeństwem, o ile ono może coś dać jej dzieciom: więcej ma od niego wymagań, niż dla niego obowiązków. W tym też kierunku całe wychowanie, choć staranne i czułe, dbałe o wygody i dostatek młodego pokolenia stawało się coraz ciasniejsze, coraz bardziej materialistyczne, aż wywołało ostrą reakcję młodzieży.

Nie tylko bowiem zaspokojenia potrzeb i przygotowania do zawodu wymaga dusza dziecka, ale i atmosfery, tętnącej miłością wielkiego celu, wielkiego ideału. Jeżeli tego nie znajduje, to albo sama wątleje, albo bujniejsza, do życia zdolna, buntuje się przeciw otoczeniu.

Stąd zacieśnianie umyślne widnokągu dla tem gorliwszego spełniania obowiązków macierzyńskich jest pro prostu niezrozumieniem zadania. Rozwój duchowy dziecka zależy

tak bardzo od tego, czy życie rodzinne bogate jest w uczucia, szerokie w poglądach. Rozszerzyć działalność po za rodzinę, to nie znaczy rodzinę opuścić duchowo, przeciwnie — to wprowadzić ją w koło dążeń wyższych, to stworzyć dla niej atmosferę bujniejszego życia, to obudzić szlachetną ambicję działalności najpełniejszej na jaką sił starczy. Kobietą, która czuje dużo i czuje głęboko, potrafi nawet w ramach najmniej podatnych stosunków — stworzyć w koło siebie życie, zamiast wegetacji roślinnej, lub bezdusznego mechanizmu porządných automatów. Ogromna, niczem nie zastąpiona wartość rodzinnego ogniska, jego wpływ na przyszłość, zależy w pierwszym rzędzie od tego nastroju, którego piętno dzieci wyniosą na dalsze życie. Chodzi tu o technienie rozumnej obywatelskości w każdej codziennej czynności gospodarską, w każdym uczynku miłosiernym, nie zaś zajmowanie się „sprawami ogólnymi” w zasadzie, przy zaniedbaniu spraw najbliższych w praktyce. Otóż zdaje się, że Marynia Połaniecka na tle Krzemieńca, który tak zawsze kochała, przy mężu rozumnym, wyrobi się w tym kierunku, wytworzy atmosferę ciepła i serdeczności, podejmie najbliższych zadań społecznych, i stanie się wzorem ziemianki w pełnym i szlachetnym znaczeniu tego wyrazu. Wiele jednak kobiet tego typu nie rozwija się dalej; zostają w swej przeciętnej uczciwości i biernym zadowoleniu z losu — z miłym uśmiechem na ustach — nie czyniąc nic złego i nic dobrego.

A jednak ten dwór polski, jeżeli tradycją żyje i poczuciem obowiązków najbliższych, to wychowuje jeszcze takie panny, jak panna Anka z „Ziemi Obiecanej” Reymonta. Bardzo dzielna panna, bardzo rozumna, głęboka, a przy całej słodyczy i cierpliwości taka niezależna duchowo, tak pewna swej drogi i swej prawdy, — umie dużo kochać, i dla kochanych jest promieniem słonecznym.

Gdy bohaterki Orzeszkowej i Rodziewiczówny zostały na gruncie i twardo trzymają się ziemi, pilnując posterunku, Anka Reymonta i Joasia z Bezdolnych przeszły całą tragedię wydziedziczenia, nie mogąc jej uchylić i są z tych, które nie zapomną nigdy, które przez życie całe iść będą z tęsknotą prawie nienazwaną, najgłębszą, a tajemną... „po kwiatów rodzinnych zapachu.” Jak im obco i straszno na bruku wielkiego miasta! nie urodziły się do tego życia, tchu brak — brak horyzontu gdzieś dalekiego... i topologicznych alei i purpurowych zachodów słońca.

Anka ufa narzeczonemu, wierzy w jego bogactwo, rozumną, energiczną działalność, a pojmuje ją jako obowiązek społeczny; ale gdy intuicyjną kobiecą odczuwa jego karyerowiczowskie ambicje, którym ona stoi na przeszkodzie, usuwa się z jego drogi — z delikatnymi słowami przebaczenia. Nie jest przytem naiwna wcale, nie podlega złudzeniom, ani sentymentalnym porywom. Taka kobieta to ogromna siła — czy na wsi gospodaruje, bliska sercem kościołowi, plebanii i ludowi, czy w mieście roztacza opiekę nad przybrany ojcem, usiłując rozproszyć jego tęsknotę ku temu życiu wiejskiemu, którego sama wyrzekła się z tak ciężkim żalem, — czy ludzi fabrycznych ratuje i pielęgnuje chorych, — czy

*) Z większej pracy pod tytułem „Nasz ideał kobiecy”, rozpoczętej w „Polskim Lanie” podajemy część ostatnią, stanowiącą odrębną całość, oraz dokończenie, nie drukowane z powodu zamknięcia pisma.

wreszcie ochronkę zakłada — zawsze jest tą samą inteligencją i wolą, która dąży do pełnienia dobrego przez miłość. Takich kobiet trzebaby nam dużo, takie wnoszą do rodziny dużo światła i ciepła, promieniują na otoczenie, takie wychowują dzieci w atmosferze uczuć obywatelskich.

Mimo bardzo rozbudzonej inteligencji, mimo chciwości wiedzy, chciwości ideowej pracy, intelektualnego obcowania z duchami wyższej miary, mimo tego wszystkiego, co życie stolicy dać może nawet zabijającej się lekcyjami nauczycielce — Joasia w Warszawie czuje się źle, jak zziębnięte dziecko zdala od domu, kurczy się, zamyka w sobie połowę duszy i tylko wytrybowany intelektualizm, młoda ciekawość — ratuje ją od poddania się warunkom tego młyna codziennego turkotu i huk. Nie umie się cieszyć wrócić życiem ulic, w jakim tak swobodnie, tak rozkosznie pławi się każde dziecko Warszawy, pomimo zupełnie ciężkich warunków domowych — i pani Tuśka i „siostry Malinowskie“ i wszystkie „Panny“ Konara.

One są tu u siebie, one promenują się w Alejach, one marzą o „gumach“, one mają ładny bucik i umieją podnieść zgrabnie sukienkę, a najskromniejszy berecik nosić na zgrabnej główce z zupełnie specjalną finezyą.

I jest im bardzo dobrze — między kolumną Zygmunta a Bagatelą — nie wierzą w ogóle, aby można żyć po za Warszawą.

A Joasia — zamiera. I jedzie Joasia na wieś, w swoje strony rodzinne do krewnych, z jakąś nadzieją w sercu, że tam odnajdzie siebie i swój ton w trybie życia — a tam znajduje coś okropniejszego, niż brzydkie kamienice Warszawy i jej błotny, przykry nastrój — zastaje: śmierć duchową, absolutną skamieniałość, absolutną obojętność, prawie bezczelność, bezwładność nietylko umysłową ale i uczuciową tak bezczelnie naiwną, tak egoistycznie zacieśnioną, że poprostu cała jej natura tężeje ze wstrętu, a niemal i strachu przed stęchlizną tego niby uczciwego, a tak haniebnie pospolitego świata. Ucieka najętą furmanką — aby nie prosić o konie — aby nie wywoływać zdziwienia w tych, co zrozumieć by nie mogli właściwego celu jej pielgrzymki w te strony — i tej wiecznie żywej, nieutulonej tęsknoty...

Zaledwie wyjechała po za bramę — i skłoniła chłopca, co ją odwoził, do zawrócenia z gościńca, w bok — tam, gdzie serce ciągnęło fizycznym niemal głodem i pragnieniem, zaledwie wstąpiła na ziemię utraconą — a drogą jak życie — już obudziła się w niej, rozwinęła, zagrała cała jej natura, cała pełnia jej istoty duchowej.

Przeżywając Golgotę tych odwiedzin dawnego dworu w opuszczeniu i ogrodzie, uświęconego wszystkimi wspomnieniami bujnego dzieciństwa, znosi Joasia mękę z męztwem, z prostotą, z kornym nabożeństwem wielkich chwil, wielkich cierpień, które duszę przepalają, aby w niej wykuć stałość, hart i wytrwanie; z nóg swych strząsa proch warszawskiej poniewierki, zrzuca naleciałość goryczy, biegnącej na Leszno nauczycielki, rozszerza się, dojrzewa, i staje się tem, czem jest w całej czystości linii, tem, czem powinna była się rozwinąć: dzieckiem pól, dzieckiem pagór-

ków zielonych najpiękniejszej w kraju okolicy, duszą wyrosłą z ziemi i tkwiącą w niej korzeniami, która do życia potrzebuje własnej, własnej ziemi, choćby... doniczkę na oknie.

Czyż jest dla współczesnej kobiety w Polsce z tych czasów, w których los Joasi był losem tysięcy, — bliższa, gorętszymi łzami przepojona karta od tej, jaka kończy ów przedziwny pamiętnik?

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z warsztatu królowej.

(Pamiętniki i listy królowej angielskiej Wiktoryji).



Na wszechświatowej scenie podnosi się zaślona. Występuje królowa. *Our gracious Queen*, jak ją nazywano za życia. Do przyjrzenia się widowisku, do wysłuchania najpoufniejszych zwierzeń monarchini zaprasza jej syn i spadkobierca, król Edward VII.

Ogłoszenie drukiem dwóch tomów listów i pamiętników królowej Wiktoryji jest sensacją dnia. A inscenizowano ją z ręcznie. Na parę dni przed ukazaniem się dzieła w handlu księgarskim, rozesłano je po redakcyach z zastrzeżeniem, aby nie pisać o niem przed dniem wskazanym. Ma się rozumieć, w owym dniu wszystkie dzienniki jednocześnie podały wyciągi z książki i artykuły o niej. Głosy tylu organów złożyły się na dziennikarski koncert wszechświatowy.

Wydawnictwo obejmuje okres lat kilkadziesiąt, a kończy się ze śmiercią ukochanego księcia-małżonka. Wrażliwość młodej królowej objawia się nadmiarem przymiotników, jak „cudownie prześliczne“, „wstrętne obrzydliwe.“ Z kart książki wylania się kochająca dusza kobieca, treściwy rozum męża stanu i charakter niezłomny. Królowa zawsze była sobą i nie chciała być nigdy inną. Do późnego wieku zachowała szczerłość, samorzutność, naiwność niemal, połączoną z wielką znajomością życia.

Ciekawe są zwłaszcza pierwsze kartki pierwszego tomu, odzwierciadlające chwile wzbijania się do lotu młodziutkiej monarchini, zapoznawania się jej z ludźmi i ze sztuką rządzenia, chwile, w których swemu wręczemu temperamentowi daje folgę i wesołością swą, ochotą do życia wzbudza plotki wśród angielskiego dworu.

Nikt w owym okresie nie mógł przypuszczać, że królowa Wiktoryja stanie się wzorem żon, matek i monarchiń. Groziło jej raczej niebezpieczeństwo wejścia na drogę, która do tak smutnego kresu doprowadziła Maryę Antoninę.

Podobieństwo obu królowych na początku ich życia jest wielkie, jest uderzające. Z pod skrzydeł srogiej matki wychodzą nagle obie na swobodę wyżynną. Wiktoryja była „małą dziewczynką“ (little girl) ośmnastoletnią, którą matka, księżna Kent, ani na chwilę nie spuszczała z oka, z którą dzieliła nawet pokój sypialny.

Pewnego dnia „dziewczynka“ obudziła się i — została powitana, jako królowa. Śliczna rycina, dołączona do pamiętnika, ukazuje nam dziewczkę w stroju porannym, przed którą klęczy lord i biskup w wiernopoddańczym hołdzie. Matka nie jest już świadkiem tej sceny — w cień się zaszuwa.

„Mała dziewczynka“ staje się pierwszą osobą w państwie, lecz z początku nic zgoła nie wie o rządach, nawet na obiady dworskie jest zapraszana, jak każdy gość inny.

Wiktoryja nie była córką niewdzięczną — bynajmniej, świadczy o tem jej rozpacz po śmierci matki, wynikłej w dwadzieścia dwa lata po jej wstąpieniu na tron. A jednak, od samego początku musiała trzymać się zdala od księżny Kent, widywać ją rzadko.

Znajduje się nagle sama, bez steru na najniebezpieczniejszym gruncie, zwłaszcza dla panienci wychowanej w zaciszu domowym.

Rozwiążność obyczajów na dworze, do którego weszła Marya Antonina, była przysłowia.

Na dworze angielskim, w chwili, gdy Wiktoryja została królową, obyczaje były równie swobodne, z tą tylko różnicą, że mniej gładkie, mniej wytworne zewnętrznie. Stary król i jego brat byli znani z życia... lekkiego. Do rozpusty łączyli jeszcze pijaństwo, nie znane na dworze wersalskim. Dlatego to matka Wiktoryji trzymała ją zdala od dworu.

I oto nagle, młoda, piękna, pełna temperamentu „dziewczynka“ obejmuje wśród tego otoczenia miejsce naczelne, a z pod matczynego rygoru dostaje się na wolność nieograniczoną.

W późniejszych latach Wiktoryja z trwożnym zdziwieniem wspomina ten pierwszy okres swych rządów i dziękuje Bogu, że jej pozwolił „ujść zdrowo i cało“, a wdzięczną też jest serdecznie swemu mężowi.

Ratunkiem jej było małżeństwo z ks. Albertem.

Tu właśnie rozchodzę się losy Maryi-Antoniny i Wiktoryji. Królowa angielska znalazła w księciu-małżonku podporę i radę. Nieszczęsna królowa francuska została sprzężona z człowiekiem słabego umysłu i słabej woli, który ani sobie, ani jej, ani krajowi poradzić nie umiał.

W chwili dojścia do władzy, Wiktoryja znalazła u steru Whigów, a na ich czele w ministerium — lorda Melbourne. Pomiedzy nim a królową nawiązał się stosunek z jego strony niemal ojcowski, z jej zaś — pełen uznania i szacunku. Przebija to z listów, jakie pisywali do siebie i ze słów jej pamiętnika. Już w pierwszym roku pisze:

„Moje zaufanie do Melbourne'a zwiększa się po każdej z nim rozmowie. Jest nie tylko wytrawnym mężem stanu i szlachetnym człowiekiem, ale serdecznym i dobrym.“

Po koronacji pisze: „Mój kochany lord Melbourne przez całą ceremonię stał tuż przy mnie i w chwili, gdy mi włożono koronę na głowę, rzucił mi spojrzenie ojcowskie niemal; gdy potem przyklęknął, aby mi rękę ucałować, ścisnęłam dłoń jego serdecznie — w oczach jego łzy zabłysły.“

Kochał swą młodziutką monarchinię jak córkę, lecz to uczucie nie było pozbawione pewnej galanterii.

Leopold belgijski, wuj królowej, pisząc o nim do siostrzenicy nazywa go człowiekiem „pełnym serca i rozumu.“ Melbourne jest w sile wieku, ma lat czterdzieści kilka, żywi kult dla kobiety w ogóle, a dla swej królowej w szczególności. Jest mężczyzną miękkiego serca. Opowiadano, że podczas procesu rozwodowego z żoną, służący, wchodząc znielacka do pokoju, zobaczył, że ją trzyma na kolanach i karmi cukierkami. Królowę swoją cześć i wielbi. Jest nie tylko jej naczelnym ministrem, lecz i *cavaliere servante*, nie dopuszcza do zbyt śmiałych wyskoków, a na drobne wykroczenia przeciw etykietce patrzy z pobłażaniem tklivem. Ona wywdzięcza mu się przyjaźnią szczerą.

W ogóle przez całe życie Wiktorya miała pociąg do przyjaźni z mężczyznami. Po Melbourne obdarzyła ją Napoleona III-go, potem Disraeli — Beaconsfilda, a wreszcie, po śmierci męża, wiernego sługę — Johna Brown. W stosunku do przyjaciół nie przestawała być kobietą. Najlepiej charakteryzują to słowa Beaconsfilda. Pytano go: dlaczego królowa go lubi, a niecierpi Gladstone'a. Odpowiedział: — „on obchodzi się z nią, jak z urzędem publicznym — a *public department*, a ja — jak z kobietą.“

Melbourne zdobył jej przywiązanie tem właśnie, że podlegał jej młodocianemu urokowi. A podlegał mu bardzo silnie. Wola królowej była mu prawem. Dla przeprowadzenia jej gotów był narazić nie tylko stanowisko własne, gabinetu i stronnictwa, ale nawet dobro państwa.

Taką jest historia słynnego *bed chamber complot*, walki królowej o prawo mianowania dworskiego sztabu.

W roku 1839-ym nad królową zachmurzyło się pogodne niebo; wśród dam dworskich powstawały plotki, rozdmuchiwane przez panie z arystokracji torysowskiej, trzymane zdala od dworu. Burżuazyjna Anglia była zgorzonna swobodnym zachowaniem się królowej, jej namiętnością do tańca. Przytem położenie ekonomiczne i finansowe było oplakane. Burzyli się Chartyści. Nawet lord Melbourne myślał o wycofaniu się z życia publicznego, a gdy przy podrzędnej sprawie kolonialnej zdobył za ledwie nieznaczną większość, skorzystał ze sposobności, aby wraz z gabinetem whigów, podać się do dymisji.

Królowa była w rozpacz; straciła zupełnie apetyt, jak sama pisze do Melbourne. Zgodziła się wprawdzie przywołać torysów, mimo to nie wyrzekła się „swego kochanego Melbourne.“

I odniosła zwycięstwo nad wszystkimi mężami stanu w Anglii, nad poważnym, uroczystym sir Robertem Peel, nad zwycięzcą Napoleona, księciem Wellingtonem, nad samym lordem Melbourne oraz jego przyjaciółmi, którzy go chcieli odwieść od udziału w sprawach państwowych. Postawiła na swoim — nie odprawiła swoich dam dworu, nie przyjechała na ich miejsce pań z torysowskiego stronnictwa.

Opisy, w jaki sposób wzięła górę nad Wellingtonem i Peelem, należą do najciekawszych następów książki. Istna krotchwila. Dlaczego Peel obstawał właśnie przy tym punkcie, dlaczego chciał koniecznie zmiany damskiego

sztabu przybocznego, nie śmiał tego powiedzieć królowej, lecz wyjawiał to innym: oto pragnął ową „młodą osobę“ otoczyć ludźmi, dającymi gwarancję jemu i krajowi.

Ze swojej strony królowa mówiła: „skoro chcę mnie traktować jako dziecko, pokażę właśnie, że jestem monarchinią.“

Torysowie usunęli się i lord Melbourne ze swem stronnictwem zdecydował się stanąć znów u steru władzy. Wieczorem po tem zwycięstwie, na dworze odbył się bal. Początkowo panował nastrój sztywny, ale po kolacyi, towarzystwo ożywiło się, królowa tańczyła do trzeciej i bawiła się wybornie.

Szerzył się jednak ferment, a wzmógł się jeszcze, gdy pewnego dnia damy dworu oznajmiły Wiktoryi, że jedna z nich, niezamężna, jest w stanie odmiennym. Powstały sarkania na obyczaje, nie oszczędzano i Wiktoryi, została wygwizdana na wyścigach w Ascott. Wrzało w społeczeństwie, bunt był blizki. Wtedy opiekunowie królowej: Leopoldo belgijski, jej wuj, i lord Melbourne, chwycili się heroicznego środka: wydali ją za męża.

Pierwsze miejsce wśród konkurentów zajmował jej kuzyn Albert Sasko-Koburski. Byli też inni, jak ks. Orański. Nowa Poreya wyszydzała go wobec dam dworskich: gdy ukazał się w ponsowym mundurze i zielonym pióropuszu porównywała go do grubej rzodkwi. Zresztą nie chciała jeszcze w ogóle pozbawiać się swobody. „Ks. Albert dobry na kuzyna, brata, przyjaciela wreszcie, ale nie na męża.“ Tak pisze do wuja Leopolda 15-go Lipca, 1839-go roku. Z ciekawością jednak wygląda jego przybycia. Nie widziała go od lat paru. Wuj pragnie bardzo tego małżeństwa.

Kuzyn Albert przyjechał, ujrzał — lub raczej dał się ujrzeć — i zwyciężył. Nazajutrz, po jego przybyciu, pisząc do wuja, Wiktorya unosi się nad jego pięknoscią, uprzejmością, nad jego rozumem, nazywa go „czarującym.“

W kilka dni potem, jak to wypadło z jej roli, oświadcza mu się sama w słowach pełnych pokory. Pyta go: „czy zechce się dla niej poświęcić i przy jej boku pozostać?“ W odpowiedzi książę wziął ją w objęcia.

Odtąd największem szczęściem Wiktoryi jest być uległą. Podczas ślubu wymawia przysięgę posłuszeństwa z naciskiem.

W tymże samym roku urodziła się *princess Royal*, Vicky, późniejsza cesarzowa Fryderykowa. Rok po roku niemal zwiększała się królewska rodzina angielska. Lekkomysłny dwór zamienił się na *nursery* (pokój dziecienny).

Wielka monarchini, sprawnie rządząca państwem przez lat 60 z górą, — dowodzi, że szczęście kobiety polega nie na panowaniu, lecz na spełnianiu obowiązków żony i matki.

Sama wykarmiła wszystkie dzieci, a miała ich dziewięć.

Jeśli Anglia sławi ją, jako znakomitą monarchinię, lwia część zasługi należy się księciu-małonkowi. Wyprowadził ją z najniebezpieczniejszego kryzysu i uratował kraj od nieszczęść rozlicznych, od rewolucyi może.

Nie brakło drobnych zatargów w tem szczęśliwym pożyciu, jak w każdym zresztą — najszczęśliwszem nawet. O jednym opowiada królowa w swym pamiętniku.

Małonkowie posprzeczcali się. Książę wyszedł i zamknął się w swoim pokoju. Po chwili pukanie do drzwi:

— Otwórz.

— Kto tam?

— Ja, królowa.

— Nie otworzę.

Krótką pauza. Pukanie ponowne.

— Kto tam?

— Ja, twoja mała Wikcia (*little Vicky*).

— Wejdz.

Całe dzieje tego małżeństwa, możnaby rzec: tej królowej, zawarte są w tym epizodzie.

— eż. —



Z literatury.



— *Wiesław Sclavus*: „*Thalitha Kumi*.“ — Ostatnia praca autora „*Królobójców*“ — jest wezwaniem do wyzwolenia kobiety, różniacem się jednak od rozbrzmiewających w ostatnich czasach hasel, a które, jak sam autor słusznie określa, uważać raczej należy za mimowolną, czy przezorną chęć stwierdzenia tego, co jątrzy, co wzbiera, co już wręcz poczyna, niż za wyrozumowaną dążność ku zaganieniu, wytępieniu zła, uciszeniu rozkolysanej fali.

Dziś... „dola kobiety staje się wyrzutem sumienia dla każdej uczciwej duszy męskiej i każdej rwącej naprzód myśli, przesłania swymi lachmanami drogę ku światłu.“

Nikt może dotąd nie opracował kwestyi tak rzeczowo i nie sięgnął tak głęboko, do samego źródła tej wielkiej bolączki społecznej.

I kiedy Turzyna w swej „*Wyzwalającej się kobiecie*“, stwierdzając jej upośledzenie społeczno-etyczne, ekonomiczne i polityczne, żąda równych praw, jednakiej etyki i moralności, kiedy Nowikow w pracy „*O wyzwoleniu kobiety*“, wykazując ohydę wstrętnego niewolnictwa i zgubne dla całej ludzkości skutki tego upośledzenia, opiewa wolną miłość — Sclavus kierunki, pragnienia i dążności powyższe kategorycznie potępia, nie uważa ich za punkt wyjścia z błędnego koła wiekowych naleciałości, tradycyi i nikczemności, lecz przeciwnie — za dwie krańcowości naszego współczesnego społeczeństwa, z których pierwsza, choć budować usiłuje, druga zaś wszystko burzy niweczy, rozwała.

Niedola współczesnej kobiety, według Sclavusa, wynika „nie z pozbawienia jej praw męskich“, wynika nie „z braku równouprawnienia jej z mężczyzną“, lecz przede wszystkim z tego, „że kobieta nie posiada praw kobiecych.“ Niedola kobiety pochodzi z macierzyństwa, pochodzi z tego, że mężczyzna obowiązki ojca spełnia wówczas, kiedy chce, kiedy je uważa dla siebie za korzystne, kiedy przychodzi mu ochota uznać je za prawne — kobieta zaś obowiązki matki musi spełniać zawsze. Niedola kobiety dlatego płynie z tych przyrodzonych jej cech, że cechy te są zapoznane przez prawodawstwa, że prawodawstwa są wciąż albo męskie tylko, albo, jak w Finlandyi, już ogólnopłciowe, gdy winny być męskie i żeńskie. Wobec tych istotnych źródeł niedoli kobiecej, jej przygnębienia, jej sprzeniewierzenia — wszystkie inne, jak ekonomiczne, polityczne i społeczne upośledzenia są błahostkami — wtóremi zagadnieniami.

Rozbierając przyczyny pogńębienia kobiety, wyprowadza następujące wnioski: ponieważ wpływ matki na dziecko, jako naturalny i bezpośredni, był silniejszym, przez ojciec, chcąc zniewolić dziecko do posłuszeństwa, przez gwałt fizyczny i przewagę mięśni ujarzmił matkę. Rys ten posłużyć może za podłoże do historii dalszych zamachów na kobietę i w następstwie przeistoczenia ustroju macierzystego na władzę patriarchy, zwłaszcza, że ujarznienie kobiety przypada na okres powstania własności, a tem samem i chęci posiadania. „Dzisiejsze prawa ojca — czytamy dalej, — są kradzieżą i rozbojem dokonany na żonie, są one uzurpowaniem praw należnych kobiecie. Sprowadzić kwestyę kobiecą na właściwy grunt, to znaczy, wrócić jej to, co jej zostało odebrane, czego została pozbawiona przez zamach mężczyzny, czyli nadać jej nie prawa męskie, lecz najpierw prawa kobiece, a potem i ogólnoludzkie.“ I porównywa rodzinę dzisiejszą do tej „kamie-

nicy przez całe wieki chronionej, reparowanej, a mimo to dziś zapadającej się i grożącej runięciem.“ Mężczyzna przeto, „nie ma dwóch dróg do wyboru—albo dalej musi być tym dzisiejszym mizerakiem tym augurem, którego fabryka sztucznych błyskawic i piorunów wywołuje coraz głośniejsze drwiny poddanych tłumów, albo musi ocknąć się i wrócić dobrowolnie kobiecie to, co jest kobiecego, uszlachetnić swe ojcowskie zapaly, nie nazwisko swe narzucać dzieciom, lecz prawe zasady.“

Dopóki ustroj macierzysty nie zdobędzie sobie prawa obywatelstwa, dopóty współczesne ojcowstwo będzie trwało, dopóty wszystkie usiłowania ludzkie zwrócone ku poprawieniu rasy, wytepieniu prostytucji, będą pracą Penelopy.

Współczesne ojcowstwo i na niem oparta rodzina jest samo przez się rozsądkiem złego, bo jest ciąglą okazją dla przemocy mężczyzny, bo otacza opieką tylko prawe dzieci, bo nie ogarnia wszystkich matek, lecz tylko te które mężczyznom podoba się do rodziny zaliczyć.

Prawo macierzyste, zatem, łączyć się musi z zasadą, że nie wolno ani dochodzić ojcostwa, ani go stwierdzać prawnie.

§ 340-ty — to najdzielniejszy środek wyzwolenia kobiety—, „gdyby Napoleon, po zadyktowaniu lapidarnych słów rzeczowego artykułu prawa, postawił kropkę i zaniechał w wodów o ojcowstwie prawnem, byłby niewątpliwie o kilka stuleci przyspieszył wyzwolenie kobiety. Nie wolno dochodzić ojcostwa! I słusznie — bo macierzyństwo jest ~~nie~~ dającym się stwierdzić, ojcostwo zaś, w najpomyślniejszych warunkach dobrą wiarą.“

Wreszcie kończy: „skłaniając się do tej nieuniknionej reformy macierzystego ustroju rodziny, ocalamy dla jutra całe skarby niezamarnowanego jeszcze zdrowia, nie porażonych dotąd patologią organizmów, unikamy śmieszności zmiany nazwiska. Kwestya nieprawych dzieci łagodnie, stając się sprawą sumienia, a przyznanie zawsze dzieci matce—odbiera procesom rozwodowym połowę tragedyi“. (Dodać tu należy, że według Scavusa, niema złych matek).

Jakkolwiek prawo macierzyste nie jest nowością, nowsze jest atoli oświetlenie kwestyi. Zgodzić się jeno trudno na potępienie usiłowań, zmierzających ku zdobyciu równych, ogólnoludzkich praw. Osiągnięcie prawa obywatelstwa dla idei matryarchatu jest jeszcze dzisiaj, ponieważ, utopia, a już w najlepszym razie bardzo daleką przyszłością. Zważywszy jednak, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, nie można zalecać wyczekującej roli, tym, którym bardzo źle, a więc dla których i niewielkie zdobycze ogólnoludzkich ochłapów są ulgą i przyspieszyć tylko mogą osiągnięcie ostatecznego celu.

Apostolstwo wolnej miłości,“ głoszone przez Nowikowa znajduje w Scavusie gorącego przeciwnika „błędem jest—mówi on—mniemać, że aby dźwignąć się, starczy rodzinę całkowicie zburzyć!

Kruchość i nikłość tych wyzwoleniowych idei pełniej jeszcze ukazuje się nam, gdy sobie wyobrazimy owe wielkie zakłady wychowawcze, kształcące, jako własność państwa, przyszłych obywateli, w których indywidualność ma pójść od niemowlęstwa w kluby i dyby...

Kasie Przejorności i Pomocy warszawskich pomocników księgarskich należy się uznanie, że wydawnictwem książki niniejszej przyczynili się do pogłębienia palącej sprawy Szata zewnętrzna odpowiada treści, — książka pod każdym względem wydana bardzo starannie.

J. A. P.

— Aleksander Urjasz: „Fragmenty.“ Nakładem „Książnicy.“

Są utwory, o których nie można napisać ani źle, ani dobrze.

Źle dlatego, że są pisane poprawnym językiem, nie naspikowanym, jak się to często zdarza, błędami gramatycznymi, że posiadają pewną barwność i potoczność stylu, że zdania nie są rozwałkowane do niemożliwie nudnych i rozwlekłych okresów, że wreszcie posiadają w sobie pewną dozę obserwacji i tak zw. „nastroju poetyckiego.“ Dobrze zaś dlatego, że nie przynoszą z sobą nic nowego: ani nowej formy, ani koncepcji, że niema w nich tężyzny, ni mocy, która, bądź co bądź, jest objawem życia i natchnienia, że rażą nas brakiem psychologicznego pogłębienia, że obracają się około tematów nie tyle utartych i przestarzałych, ile nie ciekawych i blachych.

Mniej-więcej taką książką, o której nie można powiedzieć nie złego, ani dobrego, jest tom fragmentów p. Urjasza.

Zygmunt Różycki.

— Feliks Palczewski: „Gdzie siła,“ szkic z natury na tle stosunków wiejskich. Warszawa, 1907.

Od lat kilku, znany ze swoich „Listów do redaktora“ z prowincyi, umieszczanych w czasopiśmie warszawskich, a posiadających zalety prawdomówności i dowcipu, autor niniejszych szkiców walczył z ogarniającym „synów ziemi“ sobkostwem, zacofaniem, zapatrzeniem się li tylko w własny ogródek ciasnych przesądów i poglądów z przed stu lat conajmniej.

„Listy do redaktora“—miały ten zaszczyt, że wywołały wrażenie podobne temu, jakie wywołuje kij wsadzony w środek mrowiska; dużo podobieństwa—co do skutków—z „Listami“ mają i „Szkice z natury na tle stosunków wiejskich“ p. t. „Gdzie siła,“ obecnie ukazujące się w druku.

Ostrem, ciętym piórem karcii autor wyżej wymienione wady i braki naszych „panów-braci,“ śmiało, za gwałtownie może występuje nieraz przeciw temu, co za złe uważa jedno tylko bym mu zarzucił, że zbyt swoje oskarżenia uogólnia.

Sprawia to taki skutek, że różne, zgola nie dodatnie jednostki, na tle opowiedzianych przez autora, zdarzeń zarysowują się dodatnio, czego, śmiem wątpić, czy sobie autor życzył. Dużo jest w szkicach Palczewskiego drobnych usterek, przebaczymy mu je chętnie jednak za żywość, zamasztyłość, istic szlachecką zadzierzystość stylu, który całe opowiadanie czyni zajmującym, za szlachetną tendencją tych „Szkiców,“ które są zaprawdę pisane przez jednego z tych w humorystyce osławionych szlagonów, ale raczej przeciw tym szlagonom.

Nie zgodziłbym się może z p. Palczewskim na wszystko co pisze, ale czuję, że to, co napisał, szczerze odczuł i przeżył.

Mówi może dlatego, że kiedyś sam był „pelen winy.“

„Gdzie siła“ nie jest powieścią społeczno-obyczajową, nie jest dziełem sztuki, to bezpretensjonalne, ale naturalne wynurzenia człowieka, co widzi złe i radby je usunąć.

Za tę chęć właśnie, popartą doświadczeniem i zdolnościami pisarskimi, należy się autorowi uznanie.

Druk i papier dobry, korekta niemożliwa. t. k.



SARYUSZ.
(ZOFIA CIESZKOWSKA).

PODWÓJNA MORALNOŚĆ.

SZKIC POWIEŚCIOWY.



Doktorostwo Raclawscy przenieśli się z Warszawy na wieś do swych posiadłości, gdyż ojciec doktora umarł i pozostawił mu w spadku piękny majątek ziemski.

Doktorowa kochała przyrodę. Rozkoszowała się szumem boru, szmerem wody, bujną zielonością i przestrzenią. Przytem wierzyła, że człowiek w obcowaniu z naturą staje się lepszym. W Warszawie podejrzewała, że doktor topi serce wśród swych pacjentek, a samo miasto wydawało jej się zawsze błyszczącą otchłanią, wciągającą i zaprzepaszczającą ludzi. Tu, na wsi, nie widziała pokus, ani rywalek. Odetchnęła.

Poczęła marzyć, że wieś ich zbliży z sobą, zespoli, że tu dopiero będą szczęśliwi. Pragnęła i potrzebowała rodzinnego ciepła i słarała się żyć wyłącznie dla męża i dzieci. Ale doktorowi „rodzinne ciepło“ nie wystarczało. Szukał rozrywek po za domem. Jeździł na karty, polowania, zebrania, ona zostawała sama w domu przy drobnych dzieciach, bo pan nie lubił bywać z żoną. To go kępowało—odbierało mu swobodę i pewność łatwych zwycięstw.

Jedynym jej towarzystwem był blizki, bo zaledwie o wiorstę mieszkający sąsiad, pan Karol, którego ongi, jej siostra nieboszczka, Madzia, znała i ceniła.

To ich zbliżyło i było dla niej miarą jego wartości. Pamięć zmarłej była dla niej zawsze świętą. Najchętniej też mówiła o niej z sąsiadem.

— Dlaczego nikt jej nie pokochał—zastanawiała się nieraz,— biedna, tak pragnęła uczucia. Moja siostra Anita, pusta, lekka, miała zawsze roje wielbicieli. Madzia zacna, rozumna, szlachetna, nigdy—nikogo. Dlaczego wy kochacie puste lale, czemu stronicie od kobiety-człowieka?

— To prawda—potwierdził pan Karol,—skromniejsza i lepsza kobieta zostaje często starą panną. Spójrzmy na całe zastępy literatek, społeczniczek, działaczek, te zostają ze swoją sztuką lub ideą, nikt po nie nie sięga. Wolimy wesołe i puste trzpiotki.

— Czy pan zauważył, że każda artystka-śpiewaczka jest ładną i jakby do kochania stworzoną, a literatka, społecznica, zwykle brzydką, smutną, opuszczoną. A jednak żaden uniwersytet i żadne tryumfy nie zastąpią kobiecie rodziny. Dobry, kochający i kochany mąż, własne dzieci—to podwalina szczęścia. Madzia kochała ludzkość i przywiązała się do niej, była działaczką, a jednak myśli, że nikt jej nie pokochał, była cierniem w jej życiu, była w jej mniemaniu jakby świadectwem jej upośledzenia.

Czar przyrody, częste przestawanie z sobą, dzielenie wspólnych myśli, przekonań i trosk, zbliżało ich coraz więcej, w końcu pan Karol stał się Ewie niezbędnym, on sam zaś nie mógł już ukryć swego uczucia.

Serce Ewy biło zadowoleniem i niepokojem. Była szczęśliwa, że w swem opuszczeniu znalazła duszę jej oddaną, a przytem zaniepokona, bo nie mogła szczęścia tego godzić z poczuciem obowiązku ucziwej kobiety.

Te wątpliwości spokoju jej nie dawały, a przytem nieraz brakowało jej siły, aby dłużej walczyć z ogarniającą ją uczuciem. Wreszcie przyszła do przekonania, że jej obowiązkiem jest wyznać wszystko mężowi.

— Romanie—rzekła,—pan Karol bywać u nas tak często nie powinien. To może dać powód do plotek. Ty musisz mu zwrócić uwagę..

— Rzecz prosta—odparł pan Roman,—kobiecie igrać z pozorami nie wolno, mogłabyś stracić dobrą opinię.

Doktor od dawna śledził żonę. Z początku nie zwracał na nic uwagi, później atoli uczuciu Karola nie dowierzał, począł mu się dziwić, w końcu zaczęło mu ono pochlebiać.

— Cóż on u licha upatrzył w mojej żonie?—myślał.—No, no, widocznie mała jest niczego, skora taki lampart..

I uśmiechał się zadowolony, pochlebiało to jego próżności.

Obawa o żonę nie mąciła jego spokoju. Znał ją zbyt dobrze. Zdrada mu nie groziła, był o tem przekonany, a o sentyment jej nie dbał.

— Przecież ty się o mnie nie lękasz, prawda?—spytała pewnego razu niesmiało Ewa.

— Ja? Śmieszna jesteś. O ciebie, matkę moich dzieci i moją żonę. Bylesz tylko pa-

miętała, że kobiecie nie wolno igrać z pozorami i że najczęściej gubią pozory.

Tyle było przekonania i dumy w jego słowach, że Ewa uczyła się uspokojoną.

— Dziękuję ci — rzekła, — za zaufanie. Możesz być pewnym, że go nigdy nie zawiodę.

Postanowiła zerwać z sąsiadem.

Gdy wkrótce potem Karol wyznał jej swą miłość, prosiła, żeby przestał bywać i odtąd, pomimo ciągłych prób z jego strony, przyjmować go już nie chciała.

Racławski jak zwykle bywał nieobecny, ją, osamotnioną, począł dręczyć żal do męża, za opuszczenie i zaniedbanie. Buntowała się, cierpiała, a jednak ani pokusom, ani niczem niezgłoszonej tęsknocie nie uległa.

Pownego razu, gdy spacerowała po lesie, Karol zabiegł jej drogę i począł ją zaklinać, aby mu choć szczęścia widywania siebie od czasu do czasu, nie odmawiała. Przysięgał, że nigdy ani jednym słowem się nie zdradzi, że chce być tylko jej przyjacielem, bratem.

Ewa uciekła.

Karol jednak nie wyrzekł się nadziei. Ponieważ listy jego odsyłała i unikała samotnych spacerów, umiał zręcznie wkraść się w łaski pana Romana, któremu oddał swe lasy do polowania, stawy do łowienia węgorzy, swoją kieszeń do dyspozycji i tyle drobnych przysług sąsiedzkich mu wyświadczał, że pan Roman sam wpłynął na żonę, by dla gościa była uprzejmiejszą i nie kompromitowała go, stroniąc od niego.

Zaczęły się znów wspólne posiedzenia, czytania, a jeśli kiedykolwiek spojrzenie Karola stawało się gorętsze, Ewa zęgnęła go ukłonem i znikła w swoim pokoju.

Karol zżymał się, przeklinał tę jej niezłomność, sztydził z jej purytanizmu i sam dręczył się tem więcej, bo odczuwał, że nie jest jej obojętnym.

Racławski uważał, że to, co obowiązuje kobietę, nie może się nawet stosować do pana stworzenia, jego przysięga na wierność, jest tylko czczą formalnością. Kradzione całusy, pieszczoty, to takie przyjęte, zwyczajne...

W środkach nie przebierał. Nie było paencyentek, ale były dziewczyny wiejskie. Tu był nawet pewniejszy siebie. Żona nie zdolna byłaby nawet przypuścić, aby mogła jej grozić podobną rywalizacją.

Nie było we wsi ładniejszej dziewczyny, aby pan na nią nie spojrzał pożądliwym okiem i on, dumny mąż, nie czuł w ubieganiu się o względy dziewczuch ani poniżenia, ani sromoty.

* * *

Był dzień letni.

W ogrodzie kwiaty dyszały wonią, lipy całe w kwieciu odurzały zapachem, zwierciadła wód lśniły dyamentami i migotały tęczą rozigranych słonecznych promieni, ptactwo upajało się radosnym świągotem, a wyniosłe, rozszteptane topole gwarzyły z lipami i szumiały łagodnie.

Racławski siedział na ganku z twarzą rozjaśnioną, puszczał kłęby dymu z cygara i rozweselony okiem patrzył na swe państwo, tonące w kwieciu i zieleni.

Po dziedzińcu, na drewnianym koniku, harcował mały Stefuś i jeżdżąc w około kwieci-

stego klombu, trzaskał z bacika. W głębi ogrodu spacerowała piastunka, prowadząc małą, dwuletnią Helusią za rączkę.

Ojciec spojrzał na figle umiłowanego jedy-naka i gwizdał jakąś aryjkę.

— Stefuś — zawołał, — krzyknij-no na ogrodnika.

Stefuś pobiegł i za chwilę zjawił się ogrodnik.

— Trzeba dziedziniec zagrabić, chwastem zarasta.

— Słucham wielmożnego dziedzica. Zarsię to wrychtuje. Możeby przysłać Hanke?

— Dłaczego Hanke?

— A to przyszlę Nastkę...

— Wszystko jedno, przyszljij Hanke, kiedy ci na tem zależy.

— Słucham wielmożnego dziedzica — odparł Wawrzyniec i uśmiechnął się fluternie.

Z głębi dworu wybiegła bona, zmieszała się na widok pana i przebiegła przez ganek.

— Tatusiu! — pytał Stefanek, — czy tatus chce być konikiem?

— Nie, nie chcę.

— A panna Józefa będzie konikiem, ja panią zapsiągnę! — wołał Stefuś, chwytając bonę.

Racławski nie spuszczał wzroku z młodej dziewczyny.

— Panno Józefo! — zawołał.

Młoda dziewczyna zbliżyła się zarumieniona.

— Słucham pana.

— Panno Józefo, moja panno Józefo, przepraszam, ale oberwał mi się guzik u kamizelki, tej białej. Jest w mojej szafie, będzie mi na jutro potrzebna. Może pani będzie tak dobrą... przepraszam, że tak trudzę.

— Dobrze, proszę pana, — odparła skromnie dziewczyna, zabierając się do odejścia.

— Zaraz, zaraz, tylko dam guzik. Mam go tu przy sobie. Schowałem. A widzi pani, jaki ja porządny.

Począł szukać guzika, a tymczasem szukał spojrzeniem spuszczonej oczu dziewczyny.

— Dłaczego pani tak oczęta odwraca?... Takie śliczne, a wciąż ku ziemi spuszczone. Jakże można? Czym ja taki straszny? Ja pani nie zjem. Na honor! No, spojrzedz przecie, kiedy proszę.

— Pan pozwoli...

— Zaraz, zaraz. A gdzie ten guzik się podział? Miałem go przecie w tej kieszeni.

Udawał, że szuka po kieszeniach, a wciąż kokietował ją wzrokiem i bawił się jej zakłopotaniem.

— Jakaż pani zmieszana. I rumieńczyk? Cudowny! Ach jakie raczki! Proszę siadać. Oo! już i na szyjkę wchodzą, dalibóg na szyjkę.

— Proszę pana... — rzekła, cofając się, urazona dziewczyna.

Schwycił ją za rękę.

— Panno Józio — szeptał, — dlaczego pani tak stroni ode mnie? Dłaczego pani ucieka przede mną? Panno Józio!

— Daruje pan... ale...

Uczuła, że ją przyciąga ku sobie.

— Niech pan mnie puści! — krzyknęła.

— Panno Józio — szeptał namiętnia, — ja nie chcę, żebyś stroniła ode mnie. Ja panią zbytkiem otoczę... Czy mnie rozumiesz...

Ona z początku obezwładniona, poczęła się

szamotać, a gdy się nachylił, chcąc ją pocałować, odskoczyła z krzykiem.

— Panie, ja naszej pani... ja...

Tchu i słów jej zabrakło, rozczzerwieniona, drżąca czła wybiegła.

Racławski rzucił się za nią, a widząc, że mu umknęła, zaklął i drzwiami trzasnął.

Obejrzał się i skierował swe kroki ku podwórzowi.

Z głębi ogrodu wyszła Ewa. Nie widziała ona poprzedniej sceny, ani wielu podobnych, nie badała, nie śledziła męża, a jednak od dłuższego już czasu coraz to większe wątpliwości i podejrzenia poczęły ją znów ogarniać. Doleciało ją czasem jakieś słowo niebaczone, pochwyliła wzrok gorętszy, którym doktor obrzucał pierwszą lepszą dziewczynę, ale po prostu nie mogła uwierzyć w tak niskie namiętności męża.

Tego dnia była smutniejsza, niż zwykle i dziwnie rozdrażniona. Przykra myśl uparcie wracała jej do głowy.

Poprzedniego dnia, gdy szła po ustronnej, dalekiej alei w ogrodzie, dojrzała nagle po za altanką wyniosłą postać swego męża i krasną chustę stojącą obok niego dziewczyny. Niebawem Racławski zwrócił się ku domowi, a dziewczyna chyłkiem uciekać zaczęła.

— Czemuż ona ucieka? Czy to Hanka? — spytała Ewa.

Mąż udał zdziwienie.

— Gdzie? co? Aa! Istotnie. To może Hanka. Nie widziałem.

— Jskto? Zdawało mi się, żeś mówił coś do niej.

— Ja? Ale co znowu! przewidziało ci się...

Fala krwi uderzyła na twarz Ewy. Mąż najoczywiściej skłamał.

Słowa zamarły jej na ustach. Nie śmiała przeczyć, bo zdumienie i wstyd ją zdławiły.

— Dłaczego skłamał? — szumiało jej w głowie. — Dłaczego skłamał?

— Cóż w tem dziwnego, że mówił do dziewczyny... Czyż potrzebował tego się zapierać? Czy gdyby nie ta ucieczka, mógłby ktokolwiek zwrócić na to uwagę? brać mu to za złe?...

Więc czego się zapiera? Dłaczego kłamie?

Czuła, że coś się dokoła niej dzieje, coś, z czego sprawy zdać sobie nie śmie, nie może.

Wśród nocy wyrzucała sobie:

— Nie, doprawdy, takie myśli mogła tylko gorączka nocy bezsennej sprowadzić. Jakież to wstrętne i jak upokarzające...

A jednak te dziwne uśmiechy... i to kłamstwo... to kłamstwo...

Nie, to śmiechu godne. On, człowiek wytworny, wykształcony, znany i szanowany, ona, dziewczka od cebra...

Co za zestawienie!

Ewa drży z oburzenia na samą siebie, że taka myśl może ją zaprzętać i boleć, a przecie żły żalu, niepokoju i upokorzenia z oczu jej płyną.

— Musi się to wszystko wyjaśnić — postanawia. — O gdyby Roman był takim, jak Karol. Gdyby miał choć cień uczucia dla mnie!

Myśl jej wzburzona wybiega z utęsknieniem ku tamtemu. Od niego spodziewa się ukojenia i pociechy. Ale myśl ta wydaje się jej grzeszną.

— Nie, nie! — postanawia znowu, — z nim

skończyć należy. Odwiedziny człowieka, który mnie kocha, choćby się z tem nigdy nie zdradził, przyjmować nie powinienam, nie mogę.

(Ciąg dalszy nastąpi).



ODWIECZNA TĘSKNOTA.



Do ziemi — wiecznej narodów kostnicy
Krocie pokoleń złożyło swe bole —
Wciąż płyną wieki — wciąż na trupa czole
Leży straszliwa pieczęć tajemnicy,
I wiara tylko w niebo wznosząc dłonie
Wskazuje ducha wieczność w Bóztwa łonie.

Duch ludzki przeto patrząc w te wyżyny,
Wiecznie do lotu zrywa się w niebiosa —
Gdzie nieprzebrzmiewa pieśń promiennogłosa,
Gdzie niedościgłe wszechbytu przyczyny,
Gdzie tęczoświatła nieprzestają świecić —
O! Tamby wzlecieć! O! tamby dolecieć!...

Tamby dolecieć, kędy zorza przędzie
Promień, by stroić chmurek srebrne puchy —
Tamby dolecieć, gdzie anielskie duchy
W światłości kąpią swe skrzydła łabędzie,
Wszystkiego dociec, wszystko w świecie zbadać
I lzy swe wszystkie Bogu wypowiedzieć!...

Ojczel! Do stóp Twych duch ludzki tułaczy
Tęskni — walk życia przepływając głębie!
Tęskni — jak tęsknią do gniazd swych gołębie.
Niech mu Twa miłość odstępstwa przebaczy!
I tym, co k'Tobie, wielbiąc wznoszą dłonie,
Daj wielbić Ciebie przez wieczność po zgonie.

Adela Koneczna.



Z listów do „Bluszczu.”



Paryż, w Listopadzie.

Paryż, nie lubiący długo zatrzymywać się nad jedną kwestyą, łaknący natomiast coraz nowych wrażeń i sensacji, z poczuciem obowiązku jedynie zwraca jeszcze pewną uwagę na przebieg wypadków w Maroku, jednocześnie zaś jaknajspieszniej przechodzi do porządku dziennego, przeczytawszy bardzo szczerze informacje gazet o przebiegu kongresu w Nancy. Nie wywołują również należytego wrażenia alarmujące wieści z południa, gdzie wylewy i burze, powtórne już w ciągu krótkiego bardzo czasu, wyrządzają szereg strat poważnych, zagrażając gorszymi stokroć rezultatami. Nieszczęśliwa ta dzielnica, jak pewne jednostki, obdarzone niespokojnym i niepohamowanym charakterem, bezustannie przypomina o swem istnieniu i o sobie każe mówić. Niekiedy, jak w obecnym wypadku, los przychodzi jej w tem z pomocą, zsyłając katastrofy żywiołowe, które mogą poważnie odbić się na życiu ekonomicznem całej Francji, innym razem odgrywa ona rolę *enfant terrible*, przysparzającego panom ministrom i w ogóle

sferom rządzącym mniejszego lub większego kłopotu, mieszkańcom zaś innych dzielnic sposobności do nowych kpin i żartów na ulubiony temat zawadyackiego usposobienia Południowców. Należy jednak stwierdzić, że przed paru tygodniami, gdy wylewy po raz pierwszy szczyły na południu Francji zniszczenie, zainteresowanie a więc i współczucie w Paryżu było większe, choć straty i rozmiary katastrofy nie osiągały tych granic, co obecnie. Paryżanina wszakże, jakieś wspomnieli, wszystko, co się powtarza, przestaje zajmować, w tym zaś wypadku całą uwagę pochłonięła inna sprawa, bardziej sensacyjna i niezwykła, której też pisma codzienne więcej poświęcają miejsca, niż wypadkom na Południu. A zainteresowanie nie prędko, zdaje się, osłabnie, gdyż w „Sprawie Thomas'a i S-ki“ najciekawszy akt jeszcze się nie rozegrał.

Czytelniczki znają zapewne z gazet szczegóły tej historii: kradzież cennego relikwiarza z kościoła w Ambazac, wrzawa ztąd powstała, ujawnienie szeregu innych kradzieży po kościołach i muzeach, wreszcie oddanie się w ręce policyi głównego sprawcy tych nadużyć, Antoniego Thomas'a i jego pomocnika, Faure'a. Rozpoczęte śledztwo niewątpliwie wydobędzie na jaw wiele innych ciekawych szczegółów, które wykażą, jak tu powszechnie przypuszczają, że Thomas był jedynie wykonawcą planów, zakreślonych przez osoby, dotąd władzom sprawiedliwości nieznanne i pozostające w ukryciu.

W Paryżu, po za wielkimi firmami handlarzów starożytności, dobrze jest znany typ zbieraczy, którzy pod osłoną zamiłowania i kolekcjonerstwa gromadzą cenne zabytki sztuki dawnych epok, aby je następnie z wygórowanym zyskiem odstępować. Na tego więc rodzaju indywidua przedewszystkiem zwrócono uwagę, podejrzewając, iż Thomas działał w porozumieniu z niemi. W dodatku ten ostatni, choć jeszcze urzędowo nie badany, chętnie przyznaje, że miał licznych współników, powstrzymuje się jednak na razie z dalszemi rewelacyami, wskazawszy tylko jednego z antykwaryuszów w Clermont-Ferrand, który, jakoby miał zachęcić go i ułatwić sprzedaż skradzionych przedmiotów. Wszystko to dowodzi, jak fatalnie zabezpieczone są skarby sztuki we francuzkich muzeach i kościołach prowincjonalnych. Rząd, *respectively* gminy, pod zarząd których po rozdziale kościoła i państwa przeszły gmachy kościelne, nie przedsięwziął dotychczas stanowczych środków celem zapewnienia bezpieczeństwa, obecnie zaś, po ujawnieniu sprawy Thomas'a, jedynie małą część winy na siebie zgadza się przyjąć.

W czasach, kiedy autorzy dramatyczni starają się każdą sensacyjną nowość dnia wyzyskać dla celów scenicznych, możliwym jest że wkrótce „Sprawę Thomas'a i S-ki“ ujrzymy w którym z teatrów tutejszych. Wartość takiej sztuki nie byłaby prawdopodobnie ani mniejszą ani większą od wartości całego szeregu utworów, wystawionych w ciągu ostatnich miesięcy Francuska produkcja dramatyczna nie wysiliła się już od dłuższego czasu na dzieło, któremu możnaby wyznaczyć trwalsze miejsce w historii sceny i literatury. W dziedzinie tej na okół panuje zabijająca powszedniość i szarzyzna; z jednej strony brak głębszych i zdolniejszych zainteresować wyobraźnię tematów, z drugiej, uwieńczone prawie zawsze dobrmi rezultatami, usiłowania o wirtuozostwo pod względem technicznym, wywołujące jednak na wszystkich niemal utworach piętno dziwnego szematyzmu. Jednolita i silna budowa, umiejętność wyszukiwania efektów, niekiedy nawet bardzo dobry dialog — oto i wszystko, co przynoszą sztuki, któremi teatry paryskie rozpoczęły sezon obecny. Rzeczy wybitniejszych, szczerzej i głębiej wysnutych, lub któreby świadczyły

o niezwyklej indywidualności autora, napróżno wśród nich szukać. Warunkom tym odpowiadają zarówno dwie premiery Komedyi Francuskiej: „Chacun sa vie“, przez pp. Guiches i P. B. Gheusi, oraz „Amour veille“, 4-0 aktowy utwór de Flers'a i Caillaret'a, jak wystawiona w teatrze Sary Bernhard sztuka pp. F. Duquesnel i A. Barde, p. t.: „La Maîtresse de Piano“, przez swą cukierkową tkliwość potracająca o melodramat.

Większe zainteresowanie mogą wzbudzić dwie nowości, z którymi zapoznał nas Théâtre Antoine, mianowicie „Maman Robert“ (przez G. Sabatier'a) i „la Sacrificé“, 3-y aktowy utwór G. Devore'a. Inne premiery: „Les plumes de Paon“ (Odeon), „Joujou tragique“ (Gymnas.) i „le Curé de Foréville“ (Ambigu), nie przynoszą nic, albo prawie nic nowego.

W dziedzinie sztuk pięknych mamy do zanotowania odsłonięcie pomnika Bernardin'a de Saint-Pierre, w sympatycznym ogrodzie botanicznym (Jardin des Plantes), którego autor „Pawła i Wirginii“ był niegdyś zarządcą. Pomnik wykonany przez rzeźbiarza Holweck'a, a przedstawiający sławnego przyrodnika i pisarza w postaci siedzącej, przypominać będzie tłumnie bawiącym się zawsze w „Jardin des Plantes“ dzieciom, że temu staremu panu zawdzięczają zaprowadzenie tu zwierzyńca, który obecnie stanowi przedmiot ich podziwu i uciechy, rodzicom zaś — twórcę poetycznej, a nieszczęśliwej pary kochanków.

M. J. L.



Wystawa fotograficzna.



W dniu 1-y m. b. m. otwartą została w lokalu własnym (Foksal 15) wystawa prac, wykonanych w Warszawskiej szkole fotograficznej.

Ze względu na wysoce artystyczny poziom, na jakim postawiono fotografię w szkole, życzyć sobie należy, aby publiczność nasza zaznajomiła się z tą, dotychczas po macoszemu traktowaną, częścią sztuki.

Na wystawie znajdujemy 3 działy: portretów, krajobrazów i reprodukcji.

Dział portretowy przedstawia się najokazalej, tak pod względem ilościowym, jak i artystycznym. Ludziom, przyzwyczajonym do portretów fotograficznych „za 5 rubli z ramami“, wydaje się wprost nieprawdopodobnym, aby spotykane na wystawie portrety takie, jak ks. Gralewskiego, p. Pytlińskiego, prof. Dunikowskiego, O. Wysloucha i inne wyszły z pracowni fotografa, nie malarza.

Wrażenie to potęguje się jeszcze, gdy zwrócimy uwagę na krajobraz z okolic Grójca, zrobiony sposobem gumowym przez ks. Kirchnera. Tu już wszelkie granice, oddzielające fotografię od prawdziwej sztuki plastycznej giną zupełnie. Widzi się rysunek kredką, czy węglem i dopiero z tego, że to przecież wystawa „fotograficzna“, wnioskować można, że mamy przed oczyma fotografię.

Artystyczny kierunek nadany Szkole przez jej założyciela i niezmordowanego kierownika, ks. Kirchnera, przebiega się też w pracach uczniów.

Spotykamy tam prace, robione po kilkumiesięcznych zaledwie studiach, a dające takie ładne rezultaty, jak szereg portretów robionych przez pp. Frankowską, Kępińską, Pacholską, Silberstrom, Morawską, Krzyżańską i inne. Jest tam, oprócz artystycznego ujęcia, wykonanie techniczne bez zarzutu. Pewna monotoność w traktowaniu, będąca wynikiem zbyt krótkich studiów, zostanie zapewne usunięta po dłuższej pracy.

Dział reprodukcji, na który złożyły się kopie: Axentowicza, Piechowskiego, Jakimowicza

i szczególnie dobre kopie szkiców Siemiradzkiego, zakończy szereg prawdziwie artystycznych wrażeń, jakie się wynosi z wystawy.

Tadeusz Skarżyński.



Wystawa szkoły malarstwa i rysunku

p. M. Słupskiej.



W Niedzielę, dnia 3-go b. m. w szkole Maryi Słupskiej, przy ulicy Wileczej, pod n-rem 47 ym, została otwarta wystawa prac uczniów i uczennic.

Jest to pierwszy popis od trzech lat istniejącej uczelni, prowadzonej pod wytrawnym kierunkiem. Widzimy tu studia poważne, robione z żywych modeli i z gipsów, oraz studia akwarelowe i ornamentykę. Nie ma żadnej maniery, każdy uczeń wykazuje swoją indywidualność, co jest stanowczo dużą zasługą szkoły. Na specjalną uwagę zasługują studia kwiatowe i głowa z modelu gipsowego w oświetleniu fantastycznym.

Wybornie też przedstawia się dział ornamentacyjny, ze względu na swoją nie tylko artystyczną stronę, ale także i na praktyczną, gdyż po odpowiednio przeprowadzonych studiach, może on zapewnić, dziś tak wielu poszukującym pracy młodym panienkom, bardzo pokazywalny dochód. Wiele firm zgłasza się już do szkoły pani Słupskiej po obstalunki modeli ornamentyki artystycznej do fabryk i budowli, a także i do firm księgarskich. Serdecznie też witać należy ten piękny początek rozwijającej się szkoły i życzyć jej jak najpiękniejszych owoców ciężkiej pracy pedagogicznej.

Wystawę można zwiedzać darmo, od 10-jej do 5-jej po południu.

Hel. Zaw.



Rzut oka na działalność i rozwój Stowarzyszenia Nauczycielek w Krakowie.

(Od r. 1873-go do r. 1907-go).



Dnia 20-go z. m. po nabożeństwie, odprawionem w kościele OO. Karmelitów, ks. Błanarowicz, proboszcz parafii św. Szczepana, dokonał poświęcenia „Domu nauczycielek”, położonego w ogrodzie domu pod numerem 36 ym przy ulicy Karmelickiej.

Dom ten przeznaczony jest na mieszkanie dla wiekowych, spracowanych, a pozbawionych odpowiednich środków do życia nauczycielek prywatnych i szkół publicznych, członków Stowarzyszenia nauczycielek w Krakowie.

Stowarzyszenie nauczycielek zawiązało się dnia 21-go Września 1873-go roku, z liczbą członków 24 ch, a mianowicie 10-ju członków wspierających i 14 tu członków zwyczajnych. Od roku 1873 go do 1877-go pełniły funkcję przewodniczących Stowarzyszenia pp.: Seweryna Górską, Karolina Krynicka i Marya Nowobiliska. Sekretarką w tym czasie była p. Marcela Holska.

W roku 1877-ym uznało Walne Zgromadzenie potrzebę reformy Stowarzyszenia i poruczyło tę czynność wybranemu wówczas Wydziałowi, w którego skład weszli: Antonina

Zubrzycka, prezesowa, d-r Julian Schmidt, wice-prezes, Julian Maciołowski, skarbnik, Franciszka Ryłska, sekretarka, oraz członkowie Wydziału: Anastazy Dzieduszycka, Seweryna Górską, Włodzimierzowa Krańska, Karolina Krynicka, Joanna Pogonowska, d-r Leon Cyfrowicz, Piotr Umiński. Wszystkie urzędy były honorowe, tylko sekretarka brała tytułem wynagrodzenia za swą pracę 600 koron rocznie. Nowo wybrany Wydział zaprowadził wiele ulepszeń w administracji, rachunkowości i wypracował projekt zmiany statutu, które c.-k. namiestnictwo reskryptem z d. 24-go Marca r. 1878-go pod n-rem 13,713 zatwierdziło.

Od roku 1877 go do r. 1889-go prezesową Stowarzyszenia była Antonina Zubrzycka, sekretarką od r. 1878 go do 1887 go p. Joanna Pogonowska, którą w tym roku walne zgromadzenie wybrało na wice-prezesową i na tem stanowisku pracowała do roku 1904 go, kiedy Stowarzyszenie po śmierci Wandy Żeleńskiej. godność prezesowej złożyło w jej ręce.

W r. 1877-ym, kiedy została prezesową Stowarzyszenia Antonina Zubrzycka, liczba członków wspierających wynosiła 124, członków zwyczajnych 36; w roku 1889-ym liczba członków zwyczajnych dosięgła poważnej cyfry 280, wspierających 150, razem 430, członków bibliotecznych 54.

Majątek Stowarzyszenia wynosił 5 912 koron 26 halerzy w gotówce, oraz 1,200 koron w kapitałach przyrzeczonych, nie wliczając w to biblioteki, która po sześciu latach istnienia obejmowała 1,624 dzieła, w 2,220 tomach.

Na tak pomyślny rozwój Stowarzyszenia i jego dochodów wpłynęły przede wszystkim zapobiegliwość i troskliwość prezesowej, która, urządzając własnym kosztem i staraniem loterye fantowe, zabawy, odczyty na cele Stowarzyszenia, pomnażała jego dochody, które znakomicie podniosła bezinteresowna i pełna poświęcenia praca skarbnika, p. Juliana Maciołowskiego, a następnie p. H. Müldnera, który jest skarbnikiem Stowarzyszenia od roku 1885-go, jak również p. Joanny Pogonowskiej, która jako sekretarka pracowała 10 lat, przeznaczając płacę, wynoszącą 600 k. rocznie, na fundusz żelazny budowy domu dla nauczycielek. Aby zachęcić nauczycielki do zapisywania się na członków Stowarzyszenia, uchwalił Wydział założyć wypożyczalnię książek dla szych członków, którą otwarto dnia 4-go Czerwca 1882-go roku. Założycielką biblioteki, która obecnie jest jedną z najpoważniejszych i najbogatszych bibliotek, dostępnych dla szerszej publiczności, była s. p. Bogumiła Resner, prefekta szkoły wydziałowej im. św. Scholastyki.

Celem pomnożenia dochodów postanowił Wydział w r. 1888 ym otworzyć bibliotekę i dla osób, nie będących członkami Stowarzyszenia. Utworzono sekcję biblioteczną, a na przewodniczącą tejże sekcji zaprosiła p. wice-przesowa Pogonowska, p. Władysławową Żeleńską. Komisję ukonstytuowano dnia 90-go Lutego 1888-go roku.

Wypełniając cele Stowarzyszenia, Wydział udzielał członkom swym zapomóg bezwrotnych, oraz pożyczek, spłacanych w drobnych ratach.

W międzyczasie od r. 1877 go do 1889 go Wydział Stowarzyszenia wniósł petycję do Sejmu o subwencję i do Rady miasta o darowiznę gruntu pod budowę domu.

W r. 1889 ym ustąpiła ze stanowiska prezesowej p. A. Zubrzycka z powodu złego stanu zdrowia. W r. b. na wniosek p. Joanny Pogonowskiej zawieszono portret s. p. A. Zubrzyckiej w czytelni Stowarzyszenia.

Na walnym zgromadzeniu, odbytem w dniu 24 ym Lutego 1889-go roku, wybrano na prezesową p. Wandę Żeleńską, wice-prezesową p. Joannę Pogonowską, na skarbnika p. H. Müldnera, na sekretarkę p. D. Mikiewiczównę,

na członków Wydziału: Sewerynę Górską, Helenę Pawlikowską, Juliana Maciołowskiego, Mieczysławę Śleczkowską, Paulę Spławińską, Piotra Umińskiego, Ignacego Żółtowskiego.

Godność prezesowej piastowała Wanda Żeleńska od r. 1889-go do 1904-go, t. j. przez lat 15, a wspierana doświadczoną radą wice-prezesowej i skarbnika, jak również i chętną pomocą wszystkich członków Wydziału, pracowała dla Stowarzyszenia z całą gorliwością i serdecznością.

Przez ten długi szereg lat zbierano grosz do grosza, mając ciągle na myśli budowę własnego domu. Odsetki od kapitału przyłączano do funduszu żelaznego, a do jego pomnożenia przyczyniła się znacznie tak subwencja Sejmu w kwocie 2,000 koron, jak również i dochód z biura umieszczeń, które, założone w r. 1874-ym, nie przynosiło Stowarzyszeniu korzyści, aż do chwili, gdy zarząd biura objęła s. p. Aniela z Żychoniów Dembowska i pracą swoją przysporzyła Stowarzyszeniu przeszło 4,000 koron.

Do pomnożenia funduszu przyczyniło się również wiele innych darów, które we właściwym czasie w wykazie statystycznym wymienione zostaną.

Jak poprzednia prezesowa, tak i Wanda Żeleńska, urządziła co rok loterye fantowe, zabawy, koncerty, odczyty, z pomyślnym skutkiem.

Gdy w roku 1901-ym majątek Stowarzyszenia wzrósł do sumy 50 868 koron, nabyto przy ulicy Karmelickiej pod n-rem 36 ym dom za sumę 96.000 koron, na co zapłacono gotówką 44.000 koron, na resztę zaciągnięto pożyczkę w krakowskiej Kasie oszczędności.

W tym czasie Stowarzyszenie otrzymało w darze od p. Adeli Małujanki połowę domu w Zakopanem.

W r. 1904-ym zmarła s. p. Wanda Żeleńska.

Podówczas liczba członków zwyczajnych wynosiła 211-tu, członków wspierających 29, razem 240-tu; członków bibliotecznych 248-ju.

Majątek Stowarzyszenia wynosił 97,571 koron 92 halerze, w tem dług w Kasie oszczędności 43,648 koron 69 hal., a zatem rzeczywisty majątek wykazywał kwotę 53 923 korony 23 halerze. Biblioteka Stowarzyszenia liczyła 4.000 dzieł.

Na nadzwyczajnem walnem zgromadzeniu w r. 1904-ym wybrano p. Joannę Pogonowską na prezesową, na wice-prezesową p. Annę Zakrzewską. Pierwszym czynem prezesowej było uczcić pamięć zmarłej, a bardzo zasłużonej poprzedniczki, przez umieszczenie jej portretu w czytelni Stowarzyszenia, co też wydział uchwalił jednomyślnie, nadto utworzył stypendyum im. Wandy Żeleńskiej, na które złożono fundusz, wynoszący obecnie 2,344 koron 90 halerzy. Odsetki od tego funduszu otrzymuje co rok jedna nauczycielka tytułem zapomogi.

Walne zgromadzenie odbyte w r. 1905 ym, wybrało wydział, w którego skład weszli: Joanna Pogonowska, prezesowa, A. Zakrzewska, wice-prezesowa, skarbnik H. Müldner, sekretarka E. Stypułkowska. Członkowie wydziału: J. Barańska, E. Friedberg, M. Hupkova, A. Ulanowska, d-r R. Łepkowski, W. Estreicherówna, A. Giełgudowa, W. Szolajska, St. Żeleński. Członkowie zastępcy: W. Eljaszówna, S. Hermanówna, L. Horackówna, W. Jawornicka, S. Münnichowa, L. Owczarkiewiczówna, A. Palkowska, M. Świdarska, J. Swobodówna.

W r. 1905-ym otrzymało Stowarzyszenie z daru s. p. Zofii Wołodkiewiczowej kwotę 1,532 kor. Dar ten stał się związkiem funduszu budowy domu dla nauczycielek emerytek. W Kwietniu tegoż roku przedstawiła przewodnicząca wydziałowi wniosek, aby zaraz przystąpić do rozpoczęcia budowy. Inżynier St. Żeleński, członek wydziału, ofiarował się wypracować plany i kierować budową

bezinteresownie. Przedłożony kosztorys opiewał na 36 000 koron.

Bóg pobłogosławił usiłowaniu.

P. Włodzimiera z Krańskich Czołayska ofiarowała na ten cel 10,000 koron i tym sposobem przyspieszyła rozpoczęcie budowy. Na pokrycie reszty kosztów zaciągnięto pożyczkę. Równocześnie prezesowa imieniem wydziału wniosła petycję do Sejmu o subwencję. Po dwu latach zabiegów otrzymało Stowarzyszenie w roku 1907 ym subwencję 20,000 koron, płatną w rocznych ratach po 1 000 koron. Tę wydatną pomoc zawdzięcza stowarzyszeniu poparci panów posłów, a przede wszystkim usilnym staraniami prezidenta miasta Krakowa, dra Juliusza Leo. W Październiku roku 1906 ym ukończono dom dla nauczycielek-emerytek, w tym też miesiącu Stowarzyszenie przeniosło się z ulicy Krupniczej do własnego domu. Wydział zajął się bezzwłocznie urządzeniem biura umieszczeń, mieszkania dla nauczycielek przyjezdnych, domu dla mieszkank stałych. Otwarto czytelnię, rozszerzono i urządzono bibliotekę, która obejmuje obecnie 5,000 dzieł o 12 000 tomach, a bibliotekę wraz z wszystkimi ruchomościami ubezpieczono od ognia na sumę 24,000 koron. Za pośrednictwem Stowarzyszenia mogą nauczycielki ubezpieczać się na dożywotnią rentę. Dotąd dwie nauczycielki ubezpieczyły byt swój na na starość. Wobec szybkiego wzrostu i rozwoju Stowarzyszenia, obowiązujący od roku 1891 statut okazał się niewystarczającym, to też na wniosek prezesowej postanowiono zmianę statutu, której dokonała komisja, złożona z prezesowej i członków wydziału: E. Friedberg i J. Swobodówny. Zmieniony statut został uchwalony przez walne zgromadzenie dnia 14 go Kwietnia roku bieżącego, a zatwierdzony przez namiestnictwo reskryptem z dnia 23 go Lipca r. b. za numerem 84,599.

Stowarzyszeniem zatrudnia obecnie stale pięć funkcjonariuszek: sekretarkę, bibliotekarkę i jej pomocnicę, kierowniczkę biura i zarządzającą domem.

Wszystkie inne czynności spełniają członkowie wydziału honorowo.

Majątek Stowarzyszenia przedstawia w roku bieżącym dwa domy w Krakowie i dom w Zakopanem, wartości . . . 152 000 k. — h. biblioteka z urządzeniem . . . 24 000 " — " fundusz pożyczkowy . . . 5 629 " 66 " w gotówce . . . 9 000 " — " fundusz im. W. Żeleńskiej. . . 2 344 " 90 " w kapitałach zapewnionych 19 000 " — "

Razem 211,974 k. 56 h.

Na majątku tym cięża pożyczka amortyzacyjna, zaciągnięta w krakowskiej Kasie oszczędności w 67,000 koron, spłacana w półrocznych ratach przez 32 i pół lat.

Obecnie Stowarzyszenie liczy członków rzeczywistych 449, wspierających 55, razem 504; członków bibliotecznych 463.

Od pierwszych lat swego istnienia Stowarzyszenie przychodziło z pomocą swym członkom, udzielając im pożyczek, a później zapomóg jednorazowych i stałych.

W roku bieżącym otrzymuje stałe zapomogi 12 nauczycielek wiekowych, w łącznej kwocie 1,920 koron rocznie, nadto otrzymały dwie nauczycielki zapomogę jednorazową, wynoszącą 107 koron.

W domu nauczycielek mieszkają trzy nauczycielki emerytki, reszta pokoi zajęta jest przez nauczycielki prywatne i szkół publicznych. Mieszkanie dla nauczycielek przyjezdnych obliczone jest na dziesięć osób. Kuchnię prowadzi się we własnym zarządzie.

Aby w razie choroby nauczycielki znalazły w Stowarzyszeniu pomoc i opiekę rodzinną, powziął Wydział na wniosek prezesowej uchwałę zbudowania szpitalika na gruncie własnej realności i na ten cel przygotowuje potrzebne fundusze.

O hartowaniu dzieci.



Z „Kuryera kieleckiego“ otrzymaliśmy artykuł poniższy, z prośbą o przedrukowanie.

Po wieloletniej praktyce wśród różnych sfer społecznych, zauważyłem, że przyczyny chorób są po większej części te same, osnute albo na nieodpowiednim hartowaniu ciała, albo powstały one w skutek nadużycia życia. Zadaniem więc mojem będzie wskazanie społeczeństwu środków zapobiegawczych, t. j. jak hartować ciało, ażeby stało się odpornem, jak hartować je od samego przybycia na świat jednostki, mającej być pożyteczną w społeczeństwie; będzie też podanie doraźnych wskazówek przyrodzie leczniczych ludziom już cierpiącym. Lecznictwo obecne jest lokalno-symptomatyczne, moje wskazówki będą zapobiegawcze, dla uczynienia organizmów odpornymi na dolegliwości chorobowe.

Dziecko przyniesione na świat, winno być w letniej wodzie 25° C., omyte z odrobiną mydła w ciągu kilku minut, wydobyte z kąpiel, natychmiast zanurzone po szyję na dwie sekundy w wodzie pokojowej 18° C., otarte, owinięte w płótno i ułożone w poduszki. Dziecko nie powinno być krepowane żadnymi powijkami, tylko zupełnie swobodne w ruchach. Dziecko także powinno codziennie brać taką samą kąpiel, dopóki samodzielnie chodzić i jeść nie będzie.

Następnie dziecko powinno być co drugi dzień prosto z łóżka rano zanurzane do wanny z wodą o temperaturze pokojowej na parę sekund, wydobyte, natychmiast okryte prześcieradłem, kołdrą lub pierzynką i pozostawione w łóżku na pół godziny, dopóki się nie ogrzeje.

Dzieci, dopóki same nie zarobią na obuwiu, mogą chodzić boso tak latem, jak zimą. Niech się troskliwie matki nie obawiają zaziębienia lub odmrożenia! Wszak codziennie myjemy twarz zimną wodą i wystawiamy ją na rozmaite zmiany powietrza—dlaczego więc całego ciała nie możnaby omywać zimną wodą i przyzwyczajając go do zmian powietrza? Na dowód, że boso chodzenie nie szkodzi nikomu, zechciejcie tylko przez kilka minut biegać po śniegu, a zobaczycie, że wasze zimne nogi nabędą miłego uczucia ciepłoty. To was uchroni od odmrożeń.

Dzieci winny być jak najmniej ciepło ubierane: żadnych futer i watowanych ubrań, żadnych koszulek wełnianych, żadnych skrepowań ruchów mięśniowych, czy to kołnierza, rękawiczkami, pończochami, gorsetami, paskami. Swobodne ubranie i szlafroczyki, lub bluzki są najodpowiedniejszym ubraniem; tak ubierane dzieci unikną blednicy i innego rodzaju charłactwa. W zimne i mroźne dni ciała winny przez ruch przyspieszony, same wytwarzać ciepłok rodzimy.

Sypiać powinny dzieci przy niedomkniętych oknach, tak latem, jak zimą—latem okryte prześcieradłem, zimą lekką pierzynką lub watowaną kołdrą. Okna w sypialnym pokoju nigdy na zimę nie powinny być zasklepiane. Niezbędnym jest przewiew; zatem dwa razy dziennie okna na godzinę przynajmniej mają być otwierane. Dzieci przyzwyczajając do sypiania na twardych siennikach, bez poduszek (uniknie się skrzywień kręgosłupa). Zaleca się codziennie przed pójściem spać, gimnastykować się bez ubrania, choć z pół godziny. Nigdy dzieciom na noc nie obciążać żołądka: zupa z chleba razowego, pszennego, na mleku, jest wystarczającym i bardzo posiłnym pokarmem. Latem radzę godzinami wygrzewać dzieci na słońcu w piasku, lub biegać z niemi na odkrytym powietrzu, częściowo bez ubrania, lub zupełnie nago.

W miastach, winny być wyznaczone i ogrodzone odpowiednie place dla matek z dzieć-

mi, ażeby korzystały ze słonecznych kąpeli. Wpływ powietrza i promieni słonecznych okazał się zbawiennym w chorobach skóry i cierpieniach chronicznych płuc, przeważnie dziedzicznych; swobodna zamiana części składowych powietrza z chorobliwymi wydzielinami ciała przez odkryte pory skórne, jest najlepszym środkiem leczniczym, skutecznym nawet w nieuleczalnych chorobach, według powag akademickich. Temperatura pokoju sypialnego nie powinna być wyższą nad 14° C., a im chłodniejsza, tem zdrowsza dla śpiących, więcej winna być wilgotna, niż sucha.

Pokarmy „proste“, bez żadnych korzeni, jak najmniej słone, przeważnie mleczne, roślinno-owocowe i mączne, z mies jedynie białe: ryby, cielęcina, kurczęta. Żadnych kiełbas, wędlin, żadnych podniecających napojów, jak: wódka, piwo, ani odrobiny kawy, czekolady, tylko kawa ze słodu, żyta, fig, owsa. Nie opychać dzieci ciastkami, słodyczami, cukierkami, gdyż one one to wytwarzają katary chroniczne żołądka i kizzek, a często i zapalenia onych Zupy na mleku lub wodzie z chleba razowego pszennego, grubo śrutowanego bez soli, chleb owsiany lub pszeny śrutowany, z masłem i miodem i szklanką, mleka przegotowanego, bardzo często jest najlepszym regulatorem żołądka i do tego bardzo smacznym specyałem.

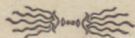
W ten sposób hartowane i wychowywane dzieci uwolniony od dziedzicznych chorób, jak: suchot płucnych, skrofulów, chorób zakaźnych krwi, chorób umysłowych i znieśmiony nerwowość dzieci z objawami padaczki (epilepsy), tańca św. Wita i źródło rozmaitych objawów historycznych. Zaprzestając podniecania systemu nerwowego, a szczególnie organów płciowych, ukróćmy straszne skutki w zmianach ustroju całkowitego organizmu.

Rozumne społeczeństwo, jeżeli ma składać się z istot zdrowych, jeżeli użytkowya ich siły fizyczne i umysłowe, to obowiązkiem jest członków społeczeństwa, t. j. matek i ojców, odwdziżyć się społeczeństwu, przez pozostawienie mu zdrowej generacji, nie zaś niedołączonych istot.

Wtedy i kraj nasz, mając zdrowy fizycznie naród i ducha w nim zdrowego, nie łatwo ulegnie rozkładowym ideom, które zamiast go odrodzić, prowadzą do anarchii i zgłady.

W hartownem cieles sam duch zapanuje nad jarzmem niewoli.

D-r Ludwik Jagniatkowski.



Kronika działalności kobiecej.



— Dnia 27-go z. m. w lokalu szkoły gimnastycznej p. Heleny Prawdzie-Kuczalskiej, ks. proboszcz Józwik dopełnił poświęcenia Szkoły języków obcych dla dzieci, mieszczącej się przy tymże lokalu. Licznie zebrani znajomi i rodziny przyszłych uczniów, przyjmowani przez panie Kuczalską i Kryńską, zwiędzali następnie wzorowo urządzone sale wykładowe, z tablicami Berlitz'a do nauki języków, oraz duży i piękny ogród, którego posiadanie stawia nową szkołę w nadzwyczaj pożądanym dla dziatwy warunkach.

N J.

— Kuchnie współdzielcze.

Dnia 25-go z. m. odbyło się drugie zebranie organizacyjne Kuchni współdzielczej. Zagaił posiedzenie p. Mieszkański, poczem powołano na przewodniczącego p. Bogusławskiego i na sekretarkę p. Dobrzańską. Rozpoczęto odczytaniem ustawy wzorowanej na „Ustawie normalnej stowarzyszeń współdziel-

czych,“ ogólnie dla wszystkich naszych kooperatyw przyjętej i zatwierdzonej. Czytał i wyjaśniał ustawę p. Wojciechowski, proponując zebranym pewne dopełnienia niektórych jej paragrafów.

Następnie p. Miłobędzka odczytała sprawozdanie z Kasy, a p. Kozierska preliminarz budżetu. Udziały wypłacone dotąd wynoszą niespełna 600 rubli (jeden udział wynosi 5 rb., prócz tego, każdy członek obowiązany jest wnieść 1 rb. wpisowego). Ciągłe jednakże napływają nowe deklaracje, jest więc nadzieja, że kapitał wkrótce się powiększy i dojdzie do 1,000 rb., sumy, która pozwoli rozpocząć przedsiębiorstwo bez uciekania się do kredytu.

Rozpoczęła się następnie ożywiona dyskusja nad wnioskami prezydium, jak również nad poglądami, które wypowiadali członkowie zebrania. Głosowanie nad wnioskami doprowadziło do następujących uchwał:

- 1) Postanowiono: otworzyć kuchnię z dniem 1-ym Stycznia, ograniczając się do tego kapitału, jaki się do tego terminu osiągnie;
- 2) W wyborze lokalu uwzględniać tę dzielnicę miasta, w której mieszka największa ilość udziałowców;
- 3) Gospodarować za gotówkę, t. j. nie korzystać z kredytu i nie udzielać go członkom;
- 4) Po rocznym obrocie, z przyznanej dywidendy członków połowę przeznaczyć na dalsze tychże samych osób udziały;
- 5) Pewną część czystego dochodu przeznaczyć na dodatkowe wynagrodzenie dla służby.
- 6) Żądać, aby członkowie płacili po 3 rb. z góry na rachunek dostarczanych obiadów.
- 7) obiady wydawać na porcy, z tem wszakże nadmienieniem, że opłata za obiad dostarczony do domu nie może wynosić mniej, niż 30 kop.

Przystąpiono w końcu do wyborów, które dały następujący wynik:

Do Zarządu wybrano panie: M. Kozierską, H. Bogusławską, J. Górską, W. Szczawińską; panów: Ozarowskiego, Sewerina, Meleniewskiego. Do komisji rewizyjnej: panią Bernardową, panów Turowicza i Wojciechowskiego.

— W Poznaniu odbył się w końcu ubiegłego miesiąca, przy bardzo licznej udziale publiczności wiec kobiet, pracujących w handlu i przemyśle. Przewodniczyła obradom p. Helena Kubicka.

Pierwsza referentka p. Zofia Tułodziecka, mówiła o potrzebie uświadomienia kobiet w sprawach społecznych i ekonomicznych, nawołując kobiety do samokształcenia i do zrzeszania się w organizacje. Następnie mówiła p. Wanda Wrzesińska o kobietach pracujących w handlu, kładąc nacisk na konieczność specjalnego wykształcenia i podniesienia płacy kobiecej. Pani Żurkowska podnosiła potrzebę szkół zawodowych krawieckich, a pani Wilczyńska poruszyła też samą kwestyę w odniesieniu do zawodu hafciarskiego, dziś bardzo zaniedbanego przez kobiety. W końcu wygłosiła dłuższy referat pani d. rowa Libekowa, znana nam z udziału w prezydium Zjazdu kobiecego. Pani L. poruszała kwestyę etyczno-społeczne, wykazując złe strony dzisiejszego położenia kobiet i dowodząc, że społeczeństwo powinno dać kobiecie lepszą opiekę i nie dopuszczać, by nędza prowadziła ją do upadku. z. b.

— Stowarzyszenie kobiet pracujących w przemyśle, handlu i biurowości zawiadamia, iż w dniu 17-ym Listopada redaktor Władysław Bukowiński wygłosi odczyt pod tytułem „Treny, a Ojciec zadżumionych.“ Zajmujący ten odczyt, urządzone staraniem Sto-

warzyszenia kobiet pracujących w przemyśle, handlu i biurowości odbędzie się w sali Towarzystwa wioślarskiego, o godzinie 5 ej po południu.

Bilety nabywać można w księgarni E. Wende i S-ka. oraz w lokalu Stowarzyszenia, Wspólna 51, m. 18, w godzinach od 7 — 9-jej wieczorem.

Chwila bieżąca.

— Na posła z Warszawy wybrano ponownie p. Romana Dmowskiego, wszystkimi głosami obecnych na zebraniu wyborców, t. j. 73-ma; na posła od ludności rosyjskiej z Warszawy wybrano profesora Sergiusza Aleksiejewa. Posłem z guberni Warszawskiej wybrany został 88-iu głosami z liczby 91 głosujących p. Władysław Grabski, z Lublinie Józef Nakonieczny, z guberni Siedleckiej Ludomir Dymasz, z guberni Łomżyńskiej d-r Jan Harusiewicz, z guberni Płockiej Hipolit Wąsowicz, z gubernii Radomskiej Józef Świeżyński, z guberni Kieleckiej Wiktor Jaroński, z guberni Kaliskiej mecenas Alfons Parcewski z guberni Suwalskiej Litwin, Andrzej Bulat.

— Dzień 1-go Listopada upamiętnił się krwawym starciem. Kroniki notują około 30-tu ofiar. Pomiędzy ulicą Krochmalną a Towarową patrol, złożony z 16-tu osób, zauważył siedmiu podejrzanych ludzi, których chciał aresztować. Jeden z nich, mniej więcej 20-letni, wyjął rewolwer i począł strzelać, to samo uczynił i drugi. Wywiązała się strzelanina, młodzi ludzie pierzchnęli w ulicę Krochmalną i dobiegłszy do wielkiego domu Oppenheimów, wpadli w podwórze. Żołnierze rozbiegli się po mieszkaniach przeciwległej kamienicy, osaczeni strzelali z klatki schodowej. Strzelanina trwała przeszło półtorej godziny. Naciągnęły liczne oddziały wojska i policji. Mnóstwo osób aresztowano. W starciu tem, w którym dano około tysiąca strzałów, zabito trzy osoby, raniono ośm.

— W okolicach Lublina, na szosie zabito p. Rakowskiego, administratora majątku ordynata hr. Maurycego Zamoyńskiego.

— Elizie Orzeszkowej, naszej słynnej powieściopisarce, przyznano tytuł obywatelki miasta Grodna, uzyskawszy na to zezwolenie Najjaśniejszego Pana.

— Dnia 28-go z. m. o godzinie 4-jej po południu zabito naczelnika więzienia w Petersburgu, Maksimowskiego Zamachu dopuściła się kobieta, dając do Maksimowskiego siedm strzałów rewolwerowych. Aresztowano ją bezzwłocznie. Była ona córką generała, nazywała się Tatiana Ragozin. Dnia 31-go z. m. o godzinie 3-jej rano spełniono na niej wyrok śmierci przez powieszenie.

— Na gubernatora, ks. Gorezakowa, w Wiatce, rzucono pod koła powozu bombę. Gubernator ocalał, gdyż bomba nie eksplodowała. Byłego ucznia gimnazjum, Lewickiego, który rzucił pocisk, zabił czerkies, towarzyszący powozowi księcia.

— Z Władywostoku donoszą o buncie wojskowym. Załoga kontrtorpedowca „Skoryj“ wyległa na rejd z czerwonym sztandarem, jakoby pod wpływem agitatorów, wśród których znajdowała się jedna Izraelitka. Poczęto ostrzeliwać miasto i oddział komendaatury. Z innych kontrtorpedowców i łodzi kanonierskich odpowiedziano również strzałami. Podczas strzelaniny zabiła agitatorów reszta załogi, która ocalała i została aresztowana. W twierdzy stan wojenny, w mieście spokój.

— W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca w okolicach Tarszkientu zapadła się góra, grzebiąc całą ludność, licząc 15,000 osób. Ocalał tylko gubernator i jego matka.

— Przedstawicielowi króla saskiego, hrabiemu Mattuzuli, urzędownie oddano księżniczkę Pię Monikę.

— W znanej sprawie Hardeny w Berlinie zapadł wyrok uniewinniający go, a tem samem potępiający hr. Moltkego-Hardenowi, wychodzącemu z gmachu sądowego, urządzone owacę. Publiczność zgromadzona w sali, przyjęła wyrok oklaskami. Skandaliczna sprawa nie jest jednak zupełnie skończoną, gdyż pisma donoszą o wytoczeniu procesu karnego przez urzędową prokuraturę przeciw Hardenowi.

— W Londynie wywołało sensację zniknięcie Barbary Łopuchinówny, którą jednak, jak donosi „Biuro Reutera“ w dniu 30-ym z. m. odnaleziono. Obecnie znajduje się u swego ojca. Poszukiwania kosztowały podobno 26,000 marek.

— Trzęsienie ziemi, jakie nawiedziło Kalabrię, zniszczyło zupełnie miasto Feruzzano, nie jest jeszcze skończoną: gdyż ciągle dają się uczuwać lekkie wstrząśnienia. Doniesienia co do liczby ofiar są sprzeczne. Pod gruzami znajduje się 130 trupów, nadto zginęło 300 osób.

— Pociąg, wiozący króla Alfonsa wraz z małżonką i następcą tronu, pod Cherburiem wykoleił się, lecz ua szczęście nikt z rodziny królewskiej nie doznał szwanku. Nie przypuszczają w tym wypadku złej woli.

— Król Alfons podczas pobytu w Londynie zasięgał rady lekarzy angielskich, gdyż jak wiadomo, obawiają się dla niego gruźlicy, na którą umarł jego ojciec. Tego lata miały miejsce niepokojące objawy, jak np. guz na szyi, który operowano.

— Ruch rewolucyjny ogarnął całą ludność w Portugalii, dążącej do obalenia monarchii i utworzenia republiki. Wojsko stanęło po stronie rewolucjonistów, jedynie na gwardyę rząd może jeszcze liczyć.

— Pokłosie śmierci w ostatnich czasach było nader obfite, wymieniamy:

— Ś. p. *Teresa z Odyńców Chomentowska*, córka poety, Antoniego Edwarda Odyńca, zmarła w 62-im roku życia.

— Ś. p. *Teresa Chwalibogowa*, wdowa po Stefanie, przewieziona do grobów rodzinnych w Sedziszowie.

— Ś. p. księżna *Wanda Jabłonowska*, ostatnia z rodu hr. Ossolińskich, zmarła w 75-ym roku życia.

W ciągu lat 32-ch przełożoną pensji była ś. p. *Weronika z Puchalskich Elszkowska*, zmarła obecnie w wieku lat 72.

Ks. *Adam Englisz*, kanonik honorowy kolegiaty łowickiej.

W Lublinie zmarł ksiądz *Antoni Wadowski*, rektor kościoła po kapucyńskiego, człowiek wybitny.

W Chodorowie, w Galicyi, zmarła ś. p. *Marya Jarmundowa*, z domu *Górska*, jedna z wybitnych Polek XIX-go wieku, gorącą patriotką, która wypełniła życie pracą dla ojczyzny.

Od Administracji.

Dla całorocznych prenumeratorów „Bluszczu,“ którzy wnieśli rubli 2 za 20 tomów dołącza się jako tom 16-ty „Serdeczna skarga,“ zbiór poezji Zygmunta Różyckiego.

Z powodu opóźnienia odbioru klisz z modami z komory, nie możemy dołączyć dodatku do numeru niniejszego. Dwa następne wydamy podwójne.

Treść numeru:

Szkola społeczna w naszej przeszłości, przez Władysława M. Kozłowskiego.—Bez celu, powieść, przez Maryana Gawałewicza (ciąg dalszy).—Dzień pochmurny (wiersz), przez Bożymira.—Nasz ideał kobiecy w najnowszej literaturze, przez J. A. P., Z. R. i T. K.—Podwójna moralność, szkic powieściowy, przez Saryusza (Zofię Cieszkowską).—Odwieczna tęsknota (wiersz), przez Adelę Koneczną.—Z listów do Bluszczu: z Paryża, przez M. J. L.—Wystawa fotograficzna, przez Tadeusza Skarżyńskiego.—Wystawa szkoły malarstwa i rysunku, przez Hel. Zaw.—Rzut oka na działalność i rozwój Stowarzyszenia Nauczycielek w Krakowie.—O hartowaniu dzieci, przez d-ra Ludwika Jagniańskiego.—Kronika działalności kobiecej, przez N. J. i z. b.—Chwila bieżąca.—Od Administracji.—Na okładce: Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 2-gi nowel p t. „Żona pożyczona,“ w przekładzie Z. G.